

ZŁOTY. KROLEWICZ



WŁADYSŁAW. BIENIN.
-- BIELENIN --

ZŁOTY KRÓLEWICZ

WŁADYSŁAW BIENIN-BIELENIN.

ZŁOTY KRÓLEWICZ

OPOWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-220 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-81 w. 42

KRAKÓW
GŁÓWNY SKŁAD W KSIĘGARNI S. A. KRZYŻANOWSKIEGO
1918.

OSOBY:

BARTŁOMIEJ
BARTŁOMIEJOWA
MARYCHNA
KASIA
BARTEK
WOJTEK
WÓJT
KUBUŚ



ON — pan z dalekiej krainy.

Rzecz współczesna.

NAKŁADEM AUTORA. — DRUKARNIA „GŁOSU NARODU”
W KRAKOWIE.

289

AKT I.

Izba w wiejskiej chałupie. W głębi drzwi do sieni. Z prawej drzwi do drugiej izby. Z lewej dwa okna. Izba obszerna, dostatnio umeblowana. Jest tu i komoda między oknami, nakryta serwetą, zastawiona porcelaną nie wykwiutną, i ławy stoją pod oknami i stół duży dębowy, i parę krzeseł i skrzynia. W rogu piec kamyczkowy, pstrokato ufarbowany i koło drzwi do drugiej izby wiodących — łóżko, wysoko poduszkami i pierzyną zaścielone. Na ścianach dookoła obraz wedle obrazu wiszą pochyło, wspierając się na listwie, zielono pofarbowanej. Nad obrazem Matki Boskiej, który przed łóżkiem wisi — wianek zeschłych kwiatów. Przed takimż obrazem innej Matki Boskiej lampka oliwna w kolorze czerwonym. Pod obrazami gdzieniegdzie fotografia, gdzieniegdzie wycinka z gazety ilustrowanej, w wąskie ramki zamknięta. Na oknach doniczki kwiatów bujnie kwitnących. W oknach firaneczki. Za oknami sad. Owoców moc, aż się gałęzie gną. Między drzewami kwitną georgonie i malwy, słoneczniki chylą ciężkie czapki. Od pół zapach suszonego siana. Powiew sierpniowego, ciepłego wiatru.

SCENA 1.

Izba pusta. Lampa płonie przed obrazem. Słońce chylące się ku zachodowi oróżowiło białe firaneczki. Poczzerwieniały georgonie i malwy w promieniach zanurzone. Przez izbę ktoś przeszedł przed chwilą, bo drzwi do sieni właśnie się zawarły. Potem sadem jakaś postać skulona przemknęła. Chwila ciszy i zaraz głos fujarki od okien niedaleko.

MARYCHNA :

wchodzi z izby zaniepokojona — podchodzi do okna.

A gdzie wy to pasiecie — hę? Ruszać mi zaraz do pola, na ściernie, bo jak tatuś wróca, to poskarzę.

KUBUŚ:

za sceną

Maryś — po jabłuszku se weźmiemy — z tych, co spadły i pożeniemy precz!

MARYCHNA :

A weźcie sobie.

wraca na izbę — rzuciła okiem na drzwi do sieni.

Z pół oddalające się tony fujarki.

MARYCHNA :

wsparta przy oknie na łokciu, słucha. Rumieniec wystąpił jej na lica — zafalowała pierś i wyprężyły się członki. Przeszła przez izbę, jakby roboty szukając i wyszła do sieni.

SCENA 2.

Po chwili od pół wołanie.

WOJTEK:

Marychna! Maryś! Maryś!

stanął za oknem zdyszany i spocony.

Maryś jesteś?

wskoczył do izby.

*Koszula zgrzebna, rozwarta na piersiach. Spodnie par-
ciane, u dołu podgięte — duże włosy rozwiane — biegnie
do drugiej izby.*

Maryś jesteś?

Stanął chwilę i okiem obrzucił izbę, poczem wraca.

MARYCHNA :

*wchodzi równocześnie od sieni z miarką ziemniaków
i z garnkiem.*

Cóżeś przyszedł?

WOJTEK:

Powroza! — Bo nam tamten pękł.

MARYCHNA :

A gdzież jest?

WOJTEK:

Gazda powiedział, że w skrzyni.

MARYCHNA :

To ten nowy?

WOJTEK:

Ano!

MARYCHNA :

Weźże sam. Klucz za obrazem.

WOJTEK:

idzie po klucz, potem do skrzyni.

MARYCHNA :

Wnet zwieziecie?

WOJTEK:

Ostatnia fura. Jużbyśmy byli w stodole, ino powróż pękł i kilka snopków spadło.

wyjmuje powróż

Ten nie pęknie.

biegnie do okna.

MARYCHNA :

Wojtuś!

WOJTEK:

Czegóż?

MARYCHNA :

A mlekabyś się może napił.

WOJTEK:

Gażdzinaby poznali.

MARYCHNA :

Powiem matuli, że ja sama wypiałam. No co, napiłbyś się?

WOJTEK:

Ano — ale prędko, bo tam czekają.

MARYCHNA :

Nadlecisz.

WOJTEK:

Nadlecę.

MARYCHNA:

Zaraz ci przyniosę.

wychodzi do sieni.

WOJTEK:

ociera twarz spotniałą.

MARYCHNA:

wraca po chwilce z garnkiem.

Masz! Niezbierane!

WOJTEK:

Gaździna będą źli!

MARYCHNA:

Co ci tam. Siądź sobie i pij.

siada przy nim.

WOJTEK:

wypił pół

MARYCHNA:

Dobre?

WOJTEK:

Jeszcze pytasz.

MARYCHNA:

Gorąco od ciebie idzie — jak od ognia.

WOJTEK:

Snopy ciężkie.

MARYCHNA:

Skwar, co?

WOJTEK:

Okruteczny. — Ale lecę.

MARYCHNA:

Masz czas. Powiesz, żem klucz zapodziała. Zre-
szta nadlecisz. Weźmiesz się przez sady.

WOJTEK:

Płoty duże.

MARYCHNA:

Aleś gibki.

WOJTEK:

Ano prawda.

MARYCHNA:

Cnie mi się samej w chałupie.

WOJTEK:

Dyć roboty w polu jest dosyć.

MARYCHNA:

Matula i tatulo nie dają ciężko robić.

WOJTEK:

Wiem. Kochają cię.

MARYCHNA :

A mnie się cnie.

WOJTEK:

Spałaś ?

MARYCHNA :

Nie.

WOJTEK:

Łóżko wzburzone.

MARYCHNA :

Takem sobie ino legła na matulinem łóżku —
ale z tęsknicy to i usnąć nie mogłam.

WOJTEK:

wypił resztę mleka

Polecę.

wstaje, idzie do okna.

MARYCHNA :

A za mleko — to mi nie podziękujesz ?

WOJTEK:

Bóg zapłać.

MARYCHNA :

Takie podziękowanie...

WOJTEK:

Kupię ci wstążkę na jarmarku.

MARYCHNA:

Mam ich dosyć w skrzyni.

WOJTEK:

No to serce na odpusćcie.

MARYCHNA:

Z piernika? Nie chcę.

WOJTEK:

No to jakże?

MARYCHNA:

Pocałuj mnie.

WOJTEK:

Maryś! — Czy ja dobrze słyszę?!

MARYCHNA:

Przekonasz się, jak mnie pocałujesz.

WOJTEK:

podbiega do niej — całuje ją.

MARYCHNA:

Cnie mi się bez kochania.

WOJTEK:

Bez mojego?

MARYCHNA:

Ano.

WOJTEK:

A czemuż nie mówisz?

MARYCHNA:

Nie widzisz to?

WOJTEK:

Hej, hej! — Dawno mi się w ślepiach zamściło — ale cóż? — Gospodarska córka, a ja parobek. Jedną cię mają. Nie dadzą byle komu.

MARYCHNA:

Cóż mają dawać. Dam się sama, komu będę chciała.

WOJTEK:

Ale i tak pewnie nie mnie.

MARYCHNA:

A tobie.

WOJTEK:

Maryś, nie mów, bo oszaleję. Ja popatrzeć nie śmiałem — a w ślepiach upoczywie ty i ty! Wiesz, od wiosny — jakim cię zdybał w stawie się kąpiącą. I przyszło na mnie kochanie i zamroczyło i ciągoty jeszcze wciąż chodzą mi po kościach. Żeby je wypędzić, po dwa snopy dźwigam na furę — już i do wojska chciałem iść. Hej, hej — Maryś — teraz to się będę zwijał. — Polecę — powróz zaniosę — wrócimy — to podworce zamiotę — wody nano-

szę — wszystko przyporządę i sięde sobie pod drzewem w sadzie i całą noc będę grał na harmonii.

MARYCHNA :

Gdybym się nie bała — przyszłabym ku tobie.

WOJTEK :

Jak starzy posną.

MARYCHNA :

Kiedy Bartek na urlopie — to będą pewnie pili do późna.

WOJTEK :

Bartek — he, he — gospodarski syn.

MARYCHNA :

A ja i tak ciebie wolę.

WOJTEK :

Wolisz mnie, Maryś?

MARYCHNA :

Wolę.

WOJTEK :

I chciałabyś być moją?

MARYCHNA :

Gdyby mi cię dali.

WOJTEK :

Wezmę cię, jak nie dadzą.

MARYCHNA :

Mocniejsi od ciebie.

WOJTEK:

Poznają oni moją siłę. Nie na całym świecie oni. Pójdziemy w świat — na Sachsy, do Ameryki. Hej, Maryś — ty nie wiesz, jaka ci we mnie moc wstąpiła.

MARYCHNA :

No to mnie weź w swoje ramiona.

WOJTEK:

Na rękach cię stąd wyniosę.

MARYCHNA :

Aleś mocny! Teraz to tak — jakbym twoja. Chce mi się twego kochania.

WOJTEK:

A mnie twego.

MARYCHNA :

No to możesz.

WOJTEK:

Tam czekają na ten powrót.

MARYCHNA :

Cień o ziemię.

WOJTEK:

ciskając

Niech go czarci! Wolne ręce do kochania!

MARYCHNA:

Pójdź na matuline łóżko.

WOJTEK:

Maryś! Jak ci mnie nie dadzą — to się na tym powrozie powieszę.

MARYCHNA:

E, co ci tam śmierć do oczu lezie.

WOJTEK:

Prawda. Nie czas o niej myśleć. — Mam ciebie.

idą do izby

Już cię mi nikt nie odbierze — nawet wszyscy święci.

mimowoli popatrzył na obrazy, w czerwonym skąpane światle. — Lampka przed obrazem Matki Boskiej zadrgała i zgasła.

Maryś! Patrzaj, przed Matką Boską lampka zgasła.

MARYCHNA:

Oliwy by trzeba.

WOJTEK:

A nie masz w chałupie?

MARYCHNA :

Zabrakło.

WOJTEK:

To ci kupię. Koło żyda i tak będziemy przejeżdżali.

MARYCHNA :

Ale niech tatulo dadzą ci pieniędzy. Za swoje nie kupuj.

WOJTEK:

A choćbym ta i za swoje kupił! Zawsze różnie, gdy światełko płonie. Patrz, jak w izbie posmutniało.

MARYCHNA :

E, co ci ta.

WOJTEK:

Toć jakby dla mnie wróżba.

MARYCHNA :

Oliwy było za mało.

WOJTEK:

Czemuż właśnie teraz zgasła?

MARYCHNA :

Też ci w głowę lichy weszło.

WOJTEK:

Maryś! Do nocki se poczekajmy. Tam czekają na ten powróż. — Tęgi powróż. Ten wytrzyma.

MARYCHNA :

Powieś się na nim, zbereźniku.

WOJTEK:

Zła jesteś? Czego? Nie ucieknie nam przecież kochanie. Do nocki już niedaleko. — Przyjdiesz Maryś?

MARYCHNA :

Chyba żeby Bartek nie przyjechał.

WOJTEK:

Żal mi Bartka. Setny chłop. Kochałem ci go, jak brata — a teraz jakaś nienawiść ku niemu w serce się wżera. Jak przyjedzie, powiedz mu, że go nie chcesz. Co ta chłopca oszukiwać i nadzieją mamić. Niech wie prawdę. Bóg mi świadkiem, ja nie winien, że kochanie ku tobie na mnie przyszło. Jabym pierwszy nie śmiał ręką sięgnąć. — Hej, hej! Maryś! Ciężka moja dola. Być parobkiem życie marne. — Gdyby mi tak kawałek ziemi z nieba spadł.

MARYCHNA :

Stoisz — gadasz — rozgadałeś się jak baba, a tam na powrót czekają.

WOJTEK:

A dyć prawda. Trza nadrobić, com zaniedbał. Niczem wiater będę leciał. Gdy mam ciebie, gdy

wiem, że dla ciebie robię — to jakby mi skrzydła do rąk i do nóg przyrosły.

wyskakuje oknem.

SCENA 3.

MARYCHNA:

bierze ziemniaki i garnek — idzie do okna i łupi ziemniaki. Robota idzie jej leniwo. Wstaje po chwili, idzie do drugiej izby i wraca z kawałkiem wstążki, zakładkę z monogramem, używaną do książki nabożnej. Siada przy oknie, ogląda zakładkę, całuje ją.

Mój królewicz złoty!

KASIA:

wchodzi szybko od sieni.

Maryś, jesteś? Widziałam go, przyjechał.

MARYCHNA:

Bartek?

KASIA:

No. — Cieszysz się? Powiadam ci, jaki szkodny! Mundur na nim opięty. Dwie gwiazdki. Jest kapralem — i u bagnetu żółty kutas. Wszystkie dziewczyny będą ci we wsi zazdrościć. Tylko ja nie — ja ci nie pozazdrozczę.

MARYCHNA:

Pewnie masz swego chłopca.

KASIA:

A jużci.

MARYCHNA:

Którego?

KASIA:

Nie powiem. Niema się czem chwalić. Kto wie, czy on se ta choć pomyśli, że ja go Kocham.

MARYCHNA:

Z naszej wsi?

KASIA:

Nie wiem nawet, z jakiej, ale nie z naszej.

MARYCHNA:

A widujecie się?

KASIA:

Ja go widzę nieraz, ale on nawet nie popatrzy.

MARYCHNA:

To smutne twoje kochanie.

KASIA:

Każde kochanie jest smutne, nawet gdy się rodziców kocha i braci — to także smutno, bo się nieraz trzeba lękać, żeby się ich nie straciło.

MARYCHNA:

A któżby o tem myślał. Są — to się ich kocha — a pomrą — to i kochanie ustanie.

KASIA:

Ale groby zostaną i groby się kocha.

MARYCHNA:

E! jakby się chciało żyjący ciągle o śmierci myśleć, toby lepiej było umrzeć.

KASIA:

Ja zawsze sobie myślę, że umierający to zawsze szczęśliwszy, niż ten, kto zostaje.

MARYCHNA:

Idźże głupia. Życ jak najdłużej — to szczęście. A młodą być zawsze i piękną i włosy długie mieć i kogoś, kogoby się kochało bardzo.

KASIA:

Ty musisz bardzo Bartka kochać i on cię kocha.

MARYCHNA:

Ja tam o nim tak bardzo nie myślę. Starzy myśla, bo bogaty.

KASIA:

W całej wsi najbogatszy.

MARYCHNA:

Ale mnie i tak mało.

KASIA:

A kogożbyś ty chciała?

MARYCHNA :

Kogo? Królewicza, coby od złota lśnił.

KASIA:

Dyc Bartków mundur to błyszczcy, jak królewski.

MARYCHNA :

No taki sobie parobek.

KASIA:

Co też ty mówisz? — Gospodarski syn!

MARYCHNA :

Ale głupi.

KASIA:

Mądrzejszy od innych.

MARYCHNA :

Są mądrzejsi.

KASIA:

U nas we wsi niema — chyba nauczyciel, pleban, albo wikary — ale to przecież nie dla nas dziewczuch.

MARYCHNA :

A dlaczegożby nie? A cóż to — wiejska dziewczucha gorsza od tych z miasta? Widziałam, jak bratanica proboszczowa w rzece się kąpała. Boże się pozał. To gdybym ja tak przyodziejewę zdjęła, a stanęła przy niej — toby jej i widać nie było!

KASIA:

Przyodziewa dużo znaczy.

MARYCHNA:

Zdaje ci się. Najwięcej znaczy ciało. Twarz piękna, piersi, biodra, ręce, nogi.

KASIA:

Skąd ty to wszystko wiesz?

MARYCHNA:

A wiem. Przecież kochanie z ciała idzie, a jak ciała niema, to cóż kochać?

KASIA:

E, nie mów, bo grzech słuchać.

MARYCHNA:

Mówię, jak prawda.

KASIA:

Ale skąd ty to wiesz? Wyczytałaś może?

MARYCHNA:

Wiem, wiem — tylko nikomu nie powiem.

KASIA:

A może tobie książki kto daje do czytania?

MARYCHNA:

roześmiała się.

KASIA:

No bo Baśka mi mówiła, że widziała raz, jak ktoś przez wasz sad przechodził — tylko nie dojrzała dobrze, kto, bo się już ściemniało.

MARYCHNA:

Plotki.

KASIA:

Ja powtarzam tobie, co ona mi mówiła. Komu innemu bym nie powiedziała.

MARYCHNA:

Kasiu, a powiedz mi, gdyby się tak do ciebie zaczął zalecać jaki pan — nauczyciel, albo wikary....

KASIA:

Co też ty mówisz?

MARYCHNA:

No gdyby — tobyś go przecież wolała, jak wiejskiego.

KASIA:

Ja nad swojego nikogo nie chcę.

MARYCHNA:

E! bo ty taka nieśmiała jesteś.

SCENA 4.

BARTŁOMIEJ:

w sieni.

Marychna! wynieś ludziom wódki i sera.

MARYCHNA :

O jej! Od roboty już wrócili, a ja jeszcze ziemniaków nie naskrobałam.

KASIA:

Pomogę ci.

MARYCHNA :

Moja ty dobra!

wstaje — bierze z komody flaszkę i kieliszek.

Napijesz się?

KASIA:

Nie. Wiesz przecie, zem ślubowałam.

MARYCHNA :

To jakże na weselu swoim? — Także nie będziesz mogła pić?

wychodzi.

KASIA:

Daleko do tego wesela.

BARTŁOMIEJ:

w sieni.

Przypij do ludzi — ja zaraz przyjdę, tylko buty przewdzieję i koszulę zmienię, bom się zgrzał przy robocie.

wchodzi.

KASIA:

Dobry wieczór, chrzestny ojciec.



BARTŁOMIEJ:

A, Kasia! Jak się masz? Co to, na robotę przyszłaś?

KASIA:

Tak tylko trochę pomagam Marysi ziemniaków oskrobać.

BARTŁOMIEJ:

idąc do izby.

Jużem zwiózł żyto.

KASIA:

O, to chrzestny ojciec się pospieszył.

BARTŁOMIEJ:

z izby.

Chwalić Boga — parobka mam, który robi za trzech.

KASIA:

To chrzestny ojciec rad z niego?

BARTŁOMIEJ:

Bardzo. Tęgi chłopak. Szkoda go na parobka. Ale cóż robić, jak kto własnej ziemi nie ma.

KASIA:

A z niczego się dorobić — ciężko.

BARTŁOMIEJ:

Ha, pewnie. Samo z nieba nie spadnie. Chociaż przy jego pilności, to kto wie, może się dorobi.

KASIA:

Dałby mu Pan Bóg.

BARTŁOMIEJ:

Takżeś to dla niego życzliwa?

KASIA:

milczy.

BARTŁOMIEJ:

A może ty go pokochałaś?

KASIA:

milczy.

BARTŁOMIEJ:

No przyznaj się, Kasiu.

wchodzi.

KASIA:

Trochę; ale niech ojciec chrzestny nikomu nie mówią.

BARTŁOMIEJ:

A cóżem to baba?

KASIA:

Bo przyznam się ojcu chrzestnemu, że nawet on nie wie o mojem kochaniu.

BARTŁOMIEJ:

Ano dobrze, że wiem — że się masz ku nie-

mu — to mu jakoś będę pomagał, żeby się dorobił, byście całe życie na służbie nie byli.

KASIA:

O, Bóg zapłać ojcu chrzestnemu!

BARTŁOMIEJ:

Niema za co.

SCENA 5.

MARYCHNA:

wraca z próżną flaszką.

BARTŁOMIEJ:

A gdzież matka?

MARYCHNA:

Poszła przypilnować przy pojeniu.

BARTŁOMIEJ:

Mogłaś matkę wyręczyć. Cały dzień biedna na słońcu.

MARYCHNA:

A czy to chce? Ile razy zabieram się do roboty — zawsze mi mówi: to nie dla ciebie.

BARTŁOMIEJ:

I tak cię robota nie minie. Wyjdiesz za mąż, to jeszcze się nieraz ciężko napracujesz.

KASIA:

A ojciec chrzestny wie, że Bartek przyjechał?

BARTŁOMIEJ:

Czemuż nie mówicie? Przecież u nas w domu ani wypić, ani zjeść. Przy robocie o wszystkim się zapomniało.

MARYCHNA:

Nie możemyz to na sucho porozmawiać?

BARTŁOMIEJ:

Nie uchodzi. Bartek syn bogaczy, to i nam się pokazać trzeba.

MARYCHNA:

Będzie myślał, że tak bardzo o niego zabiegamy.

BARTŁOMIEJ:

Choćby i myślał, to jest o kogo zabiegać.

MARYCHNA:

E — znowu tak bardzo.

BARTŁOMIEJ:

Cóżeś mu to nie rada?

KASIA:

Rada mu jest, rada, ino tak się przekamarza.

SCENA 6.

BARTŁOMIEJOWA:

wchodzi.

Pocziwy Wojtek — prosił, bym poszła do izby, że wszystkiego przypilnuje. — O, Kasia! — Jak się masz?

KASIA:

Jak ta ja.

BARTŁOMIEJ:

Słuchajno, matka — bo Bartek jest — pewnie przyjdzie. Trzeba się nam przyszykować.

BARTŁOMIEJOWA:

Zaraz pošlę Wojtka.

BARTŁOMIEJ:

Daj Wojtkowi wypocząć. Dostyc się dziś napracował. Niech Kubuś skoknie.

BARTŁOMIEJOWA:

Widzę, że w kuchni jeszcze się nie pali. Trzebaby i coś gorącego.

KASIA:

Ja matce chrestnej rozpalę ogień.

BARTŁOMIEJOWA:

Dobrze, moja ty.

MARYCHNA :

Co się tak spieszycie ? Jeszcze nie wiadomo, czy przyjdzie.

BARTŁOMIEJ:

Chybaby taki pyszny nie był.

BARTŁOMIEJOWA :

I tak musi ktoś przejść do żyda, bo mydła nie mam.

SCENA 7.

WOJTEK:

wchodzi z flaszką oliwy.

Krowy i konie napojone. Jeszcze podworce zamietę. Wóz na jutro nasmaruję i trawy trochę pod dojenie narznę. Maryś — masz tu oliwę do lampki.

BARTŁOMIEJOWA :

O dobry Wojtku, jak ty o wszystkim pamiętasz. Chodźże Kasiu do kuchni, jeżeliś już tak dobra.

BARTŁOMIEJ:

Ja jeszcze do wójta muszę wpaść, bo nie wiem, czy weźmie ode mnie siano zeszłoroczne, czy nie.

BARTŁOMIEJOWA :

A nie siedź długo, bo jakby Bartek przyszedł to trzeba, żebyśmy wszyscy byli.

BARTŁOMIEJ:

Raz dwa się zwinę.

wychodzą.

SCENA 8.

WOJTEK:

Zaświecę lampkę.

MARYCHNA:

Jak chcesz.

WOJTEK:

Zaświecę. A gdzie knotki?

MARYCHNA:

Gdzieżby? — Pewnie na komodzie.

WOJTEK:

szuką.

Są.

nalewa oliwę do lampki i zapala.

Teraz już nie prędko zgaśnie.

po chwili podchodzi do Marychny.

Maryś — tak jak my mówili.

MARYCHNA:

Nie wiem. Będziemy dzisiaj długo siedzieć.

WOJTEK:

Jak ta chcesz. Jak mnie kochasz, to mi kochanie nie ucieknie, a przy robocie tom sobie tak rozważył, że i do ślubu poczekać lepiej.

MARYCHNA:

Pewnie.

WOJTEK:

Ale mnie kochasz?

MARYCHNA:

Cicho! Może kto usłyszeć.

BARTŁOMIEJOWA:

ze sieni.

Wojtek! Chodźno! Chciałabym, byś mi do żyda przeszedł — bo się boję Kubusia posyłać.

MARYCHNA:

Matka cię woła.

WOJTEK:

Idę, idę! Maryś — powiedz mi, że mnie kochasz.

BARTŁOMIEJOWA:

ze sieni.

Wojtek!

MARYCHNA:

Idźże, kiedy cię woła.

WOJTEK:

Prawda. — Kochanie nie ucieknie — a jak robota pilna — to trzeba spieszyć. Maryś! dzisiaj nocką to chyba na harmonii duszę wygram!

wychodzi.

SCENA 9.

MARYCHNA:

popatrzyła za nim i zadumała się. — Ściemnia się. — Dzwony biją na „Anioł Pański“.

KASIA:

wchodzi.

Matka chrzestna chce, byś dała pieniądze ze skrzyni.

MARYCHNA:

Weź sama. Klucz jest w zamku. — Gotujecie?

KASIA:

Tak. — Przyjdiesz do kuchni?

MARYCHNA:

Nie teraz. — Wrócę za chwilę.

KASIA:

Dokąd idziesz?

MARYCHNA:

Popatrzeć na pola. Cały dzień siedziałam w izbie.

KASIA:

A jak Bartek przyjdzie?

MARYCHNA:

Co wy mi ciągle o tym Bartku mówicie?

idzie do okna, staje jedną nogę na krześle, drugą na futrynie.

KASIA:

Marysiu, nie odchodź; cóż ja im wszystkim powiem?

MARYCHNA:

Powiedz, żeś nic nie widziała. — Muszę iść.
Może mnie czeka.

KASIA:

Kto?

MARYCHNA:

Mój królewicz złocisty.

KASIA:

Ej Maryś — Maryś!

MARYCHNA:

Ty jeszcze nie wiesz, co kochanie. Jak raz skosztujesz — zobaczysz — ani się ognąć.

KASIA:

Na „Anioł Pański“ dzwonią — pomódl się — pomoże ci.

MARYCHNA :

E! co tam! Ciało mi wzięło, niech i duszę
bierze.

wyskakuje oknem.

KASIA :

chwilę stoi, patrząc za nią.

BARTŁOMIEJOWA :

ze sieni.

Kasiu! Prędkiej, bo Wojtek czeka.

KASIA :

wyrwana z zadumy.

Idę, idę!

wybiega.

SCENA 10.

Od sadu słycać śpiewanie.

BARTEK :

Hej, dziewczyno, wstawaj zwawo,
Żołnierz idzie drogą krwawą,
Żołnierz idzie twój!

staje w oknie i śpiewa.

Hej, dziewczyno — drzwi otwieraj,
Ślubne szaty na się wdziewaj,
To kochany twój.

KUBUŚ:

wbiega od sieni, patrzy w okno i wybiega, wołając.

Gaździna! Bartek przyszedł!

BARTEK:

odchodzi od okna.

BARTŁOMIEJOWA, KASIA i KUBUŚ:

wbiegają.

BARTŁOMIEJOWA:

Gdzież on?

KUBUŚ:

W oknie stał, a przyśpiewywał.

BARTŁOMIEJOWA:

biegnie do okna.

Nigdzie żywej duszy.

KUBUŚ:

A przecież śpiewał. Nie słyszeliście?

BARTŁOMIEJOWA:

Kto wie, kto śpiewał.

KUBUŚ:

On! Mundur na nim nowiusieńki. Czapka na bakier.

BARTŁOMIEJOWA:

A może się gdzie schował. Pewnie chce, by

Marychna wyszła naprzeciw — a ta się też schowała. Tacy to młodzi. Szukają się, a od siebie niby uciekają.

idzie do izby.

Marysia! Nie bądź głupia, wyjdź przed niego.

BARTEK:

za sceną.

Hej, Marychno! czasu szkoda,
Daleka przedemną droga.
Gdzież to wianek twój?

KUBUŚ:

O, widzicie? — Ja mam oczy.

BARTŁOMIEJOWA:

No, Marysia — nie bądź głupia — nie będę
cię przecie ciągnęła do niego przemocą.

BARTEK:

w sieni.

Jeśli wianek zabrał drugi,
Poleją się tu krwi strugi
O ten wianek twój.

wchodzi.

SCENA 11.

BARTEK:

Nikt mi nie otwiera, ale wchodzi.

BARTŁOMIEJOWA:

Barteczku, jak się masz?

BARTEK:

Jak przy wojsku.

BARTŁOMIEJOWA:

Ale z ciebie ułan szwarny.

BARTEK:

Gdzież Marychna?

BARTŁOMIEJOWA:

Schowała się przed tobą.

BARTEK:

Dla figłów, czy ze strachu?

BARTŁOMIEJOWA:

Dlaczegożby ze strachu?

BARTEK:

poszczękując szablą.

Jeśli wianek zabrał drugi,
Poleją się tu krwi strugi
O ten wianek twój.

BARTŁOMIEJOWA:

Oj ty, ty! Takiś to podejrzliwy?

BARTEK:

To tak tylko w śpiewce. Ale kiedy się scho-
wała, to pewnie chce, bym ją szukał.

wskazując na izbę.

Tam?

BARTŁOMIEJOWA:

Hm.

BARTEK:

wyjmując flaszkę.

Tymczasem, matko, przystrońcie napitek. Pewnie
będzie chciała, żeby ją długo szukać.

wychodzi do izby.

BARTŁOMIEJOWA:

Kubuś — idź, pilnuj ognia w kuchni.

KUBUŚ:

wybiega.

KASIA:

stała wylękniona.

Ja, matko chrzestna, gotowania przypilnuję.

BARTŁOMIEJOWA:

Oświećże mi chociaż lampę.

*idzie do komody, bierze kieliszek, stawia na stole przy
flasce.*

KASIA:

zaświeca lampę.

BARTŁOMIEJOWA:

do izby.

Dobrze się schowała, kiedy jej znaleźć nie możesz.

BARTEK:

Niema jej tu.

KASIA:

Wiecie — pewnie z figłów do ogrodu wyskoczyła.

BARTEK:

Nie będę jej po wsi szukał.

wchodzi.

Ale ją ukaram i do Kasi przypiję.

BARTŁOMIEJOWA:

wyjmuje świecę ze skrzyni, zapala i stawia na komodzie.

Będzie jaśniej.

BARTEK:

z kieliszkiem w ręce i flaszką.

No, Kasiu — do ciebie.

BARTŁOMIEJOWA:

Ona tam pewnie ze sadu spoziera.

BARTEK:

wypił i nalał kieliszek Kasi.

To zamiast Marysi. — A teraz do was, matko.

BARTŁOMIEJOWA:

Daj wam Boże szczęście.

BARTEK:

A może ona nie z figłów, ale nie chce mnie?

BARTŁOMIEJOWA:

Co też ty mówisz?

BARTEK:

Ano, bywa: Chłopiec idzie do wojska — dziewczyna tęskni rok, dwa, a na trzeci zapomni.

BARTŁOMIEJOWA:

O, mybyśmy jej nie dali zapomnieć. Dziś nawet my jej o tobie mówili. Tylko to wiesz, że jędnaczka, to i rozpieszczona. — Trudno nawet karcieć, choć źle robi.

BARTEK:

Ha! Poczekam.

KASIA:

Na blasze pewnie ziemniaki skipią.

BARTŁOMIEJOWA:

Jest tam przecież Kubuś.

KASIA:

Pójdę, Zapomniałam posolić.

wychodzi.

BARTEK:

Służy u was?

BARTŁOMIEJOWA:

Nie — u Marcinów — ale oni pojechali na wesele, więc do nas przyszła. Zdaje się, że ją tu tak Wojtek ciągnie.

BARTEK:

Wojtek ciągle u was służy?

BARTŁOMIEJOWA:

Ciągle. Sprytny z niego parobek.

BARTEK:

Gdzież gospodarz? Też się schował?

BARTŁOMIEJOWA:

Oj ty, ty! Tak to cię obeszło? Bartłomiej poszedł do wójta. Miał zaraz wrócić, bośmy się spodziewali, że przyjdiesz.

SCENA 12.

BARTŁOMIEJ:

w sieni.

Co, przyszedł?

BARTŁOMIEJOWA:

O, mój idzie.

BARTŁOMIEJ:

wchodzi.

Bartek — jak się masz?

BARTEK:

Źle się mam, bo Marysi nie widzę.

BARTŁOMIEJ:

A gdzież ona?

BARTŁOMIEJOWA:

Z figłów się schowała.

BARTŁOMIEJ:

Cóż się dziwisz? Nie znasz to dziewczuch?

BARTEK:

No ale zawsze. Dotąd nic nie wiem, czy mi rada, czy nie.

BARTŁOMIEJ:

Ale rada, rada.

BARTŁOMIEJOWA:

Wszycyśmy ci radzi.

BARTŁOMIEJ:

Wojtek nie przyszedł?

BARTŁOMIEJOWA:

Poszedł już chwilę.

BARTŁOMIEJ:

Ja musiałem do wójta. Zostało mi sporo siana ze zeszłego roku. Sprzedałem mu.

do Bartłomiejowej.

Masz — schowaj. To na wiano dla Marychny. Takeśmy sobie z moją postanowili, że co zostanie z przednowku — to dla niej. Będzie mieć wiano, jak się patrzy. Nie pożałujesz.

BARTEK:

Bóg wam zapłać.

BARTŁOMIEJ:

Komuż damy, jak nie jedynaczce? Bo tam miłość miłością — a dostatek dostatkim. A i całcwa nie lepiej smakuje po dobrej wieczerzy.

BARTEK:

A Marychny jak niema, tak niema.

BARTŁOMIEJ:

To dopiero dziewczucha. Gniewać się nie chcę, bo jakże smutkiem przykrywać radość naszą i waszą.

BARTŁOMIEJOWA:

He, he — wiem już. Pewnie poszła do komory przystroić się.

BARTŁOMIEJ:

A pewnie.

BARTEK:

No to musimy poczekać cierpliwie — a żeby nam się zaś czas nie dłużył — to w ręce.

BARTŁOMIEJ:

Boże poszczęść.

piją w kóło.

Długo masz urlop?

BARTEK:

Tydzień.

BARTŁOMIEJ:

Aż tydzień.

BARTEK:

Uprosiłem, bo radbym zrękowiny odbyć.

BARTŁOMIEJ:

Jak chcesz. — Myśmy gotowi. A i Marychna z radością powita tę nowinę.

BARTEK:

Do końca służby niedaleko. Jak wrócę, radbym zaraz na swoje śmieci się przenieść.

BARTŁOMIEJOWA:

My tymczasem przygotowujemy wszystko. Marychna musi zaraz szykować wyprawę. Kasia jej dopomoże.

BARTEK:

po chwili milczenia.

Nie gniewacie się, że już pójdę — bo przyjaźń

przyjaźnią, ale honor swój trzeba mieć. Niema Marychny, nie chce przyjść, to ja nie wiem, jak sobie to tłumaczyć. Chce mnie, niech mnie szuka. Będę w karczmie.

BARTŁOMIEJ:

Bartek! Chłopie dobry — też nie bądź gorącą. — Też dziewczucha głupia psia krew!

BARTŁOMIEJOWA:

Stary! — Bój się Boga, nie klnij!

BARTŁOMIEJ:

Jakżeż nie kłąć, gdy tu o honor jego chodzi. Pójdę do komory i przyprowadzę, ale tych głupich figłów nie podaruję.

wychodzi.

BARTŁOMIEJOWA:

Barteczku — poczekajże tu. Pójdę za nim, bo jeszcze gotów jej co powiedzieć i dziewczyna się naprawdę uprze.

BARTŁOMIEJ:

ze sieni.

Popatrzno w komodzie, czy tam klucz od komory jest?

BARTŁOMIEJOWA:

Zaraz, zaraz!

otwiera szufladę.

Jest!

BARTŁOMIEJ:

ze sieni.

No to jej w komorze niema.

BARTŁOMIEJOWA:

Cierpliwości już brakuje z tą dziewczyną.

wychodzi.

SCENA 13.

BARTEK:

idzie ku izbie.

Maryś! No Marychna! Sam jestem.

Cisza. — idzie do okna i woła do sadu.

Marychna!

*Cisza. — wraca do stołu — pije kieliszek wódki, stawia
flaszkę i kieliszek na komodzie — zobaczył książkę na-
bożną, wziął do ręki zakładkę — ogląda — obrazki roz-
sypały się pod jego nogi — rzuca książkę do szuflady —
pije znowu — wypił — czapkę nałożył z fantazyą.*

Ha! Psia krew! Kiedy nie — to nie!

chce odejść.

SCENA 14.

MARYCHNA:

*wskakuje oknem. Włosy rozpuszczone, na piersiach roz-
pięta koszula.*

BARTEK :

Marychna!

postąpił krok i przystanął.

MARYCHNA :

zimno.

Ty Bartku?

BARTEK :

A ja. Z wojska na urlop! Cóż to — nie witasz się? Czegoż stoisz oniemiała?

MARYCHNA :

Przyjechałeś tak niespodzianie.

BARTEK :

Widzę, że się nie radujesz.

MARYCHNA :

Gdzie rodzice?

BARTEK :

Poszli cię szukać.

MARYCHNA :

Zaraz ich zawołam.

BARTEK :

Jużem się widział z nimi. Powiedźże mi choć, czyś mi rada.

MARYCHNA :

Ja, Bartku — niebabym ci przychylić rada.

BARTEK :

Cóżś taka wystraszona? — Dyszysz, jakbyś uciekała.

MARYCHNA :

Cały dzień w domu siedziałam. Pilnowałam chałupy — oni byli przy robocie. Stęskniłam się za polami, za swobodą i wybiegłam. — Nocka mnie zaszła pod lasem. Zlekłam się i co tchu leciałam do domu.

SCENA 15.

BARTŁOMIEJ :

wchodzi od sieni.

A, jesteś? Gdzieżeś ty była?

woła do sieni.

Matka! Już przyszła. — Myślałem, żeś się przyodziać poszła.

BARTŁOMIEJOWA :

wchodzi.

No widzisz, Bartku, że nie uciekła przed tobą.

BARTŁOMIEJ :

Ale kara cię nie minie. Musisz Bartka pięknie przeprosić.

MARYCHNA :

Jak ta chcecie.

BARTŁOMIEJ :

No przepros.

MARYCHNA :

Tak przy wszystkich?

BARTŁOMIEJ :

Nas się wstydzić nie potrzebujesz.

BARTEK :

Marychna! Przecież ja do ciebie przyjechałem. Nie podziękujesz mi to? Nie przywitasz mnie tak, jak się kochanego chłopca wita? Ja tu do ciebie ze śpiewką szedłem na ustach — nie chciejże przecie, bym z przekleństwem odchodził. Marychna!

otwiera jej swe ramiona.

MARYCHNA :

pozwala mu się objąć i pocałować.

Bartku!

BARTEK :

trzymając ją w objęciach.

Zrękowiny sprawimy. — Gospodarstwo sobie nowe — nasze założymy i będziemy żyć szczęśliwie.

MARYCHNA :

sięgając gdzieindziej marzeniami.

Mój ty królewiczu złoty!

SCENA 16.

WOJTEK :

wchodzi z koszykiem — widzi ich — nie mówiąc nic, stawia koszyk, zamierza odejść.

4*

BARTŁOMIEJ:

Wojtku, a nie odchódź nigdzie. Siędziesz z nami do stołu.

WOJTEK:

Podwórce jeszcze niezamiecione.

BARTŁOMIEJ:

Masz czas. I tak ciemno.

WOJTEK:

Przy księżycu pozamiatam.

BARTŁOMIEJ:

Nim księżyc wzejdzie, zjesz z nami i wypijesz.

WOJTEK:

Nie moja uczta. Anim gościem, anim gospodarzem. A służba moja w stodole, w polu, w stajniach. Tu przy stole nie jestem parobkiem.

BARTŁOMIEJ:

Siędziesz z nami, jak gdybyś do familii należał.

WOJTEK:

Nie wiem, czy mi będą radzi.

BARTEK:

Cóżeś shardział — nie w smak ci, że biorę córkę gospodarza, u któregoś za parobka?

WOJTEK:

Shardział nie shardział, ale do uczty siadać

trzeba z wesołym sercem, a jak kto ma w sercu smutek, to jest przy gościńcu karczma.

BARTEK:

Mówisz, jakbym ja ci szczęście ukradł.

WOJTEK:

Noc — nie widać, kto kogo kradnie.

MARYCHNA:

Nie kłóćcie się, bo odejdę. — Wszyscy niech siadają do stołu. Ja tak chcę. Kasia! Gdzie Kasia?

BARTŁOMIEJOWA:

zastawiała stół naczyniem, które bierze z komody — z koszyka wyjęła flaszki z piwem i z wódką.

Jest w kuchni. — Gotuje.

MARYCHNA:

Niech przyjdzie. — Idź Wojtek — zawołaj ją i Kubuś niech przyjdzie i Baśka.

BARTŁOMIEJOWA:

Baśka przy dojeniu.

MARYCHNA:

Niech przyjdą. Co ta z tego, czy kto służy, czy nie. Ty przy wojsku też musisz robić, co ci każą. Teżes tam parobek, jak inni. Nieraz z dziewczyny wiejskiej i królowa być może, byle ino znalazł się królewicz, coby się w niej zakochał.

BARTŁOMIEJOWA:

Bajki pleciesz. Złapie gdzie książkę — przeczyta i potem się jej mrzonki jakieś czepiają ni w pięć, ni w dziewięć.

BARTEK:

Kiedy Marysia chce — to idź Wojtek. Zwołaj ich.

WOJTEK:

U ciebie nie służę, byś mnie posyłał.

BARTEK:

Jeszcze będziesz Boga prosił, byś u takiego, jak ja, gospodarza mógł służyć,

WOJTEK:

A niedoczekanie!

BARTŁOMIEJ:

Chłopcy, dajcież spokój! — Bartek nie przez złość do ciebie mówi — a przecie wiesz, że ja, to jakby syna cię kocham i gdybym miał drugą córkę tobym ci ją zaraz dał.

WOJTEK:

Prawdę mówicie?

BARTŁOMIEJ:

Szczerą prawdę.

WOJTEK:

No to nie zabaczcie tych słów.

BARTŁOMIEJ:

Przekonasz się sam, że nie zabaczę.

WOJTEK:

Idę po Kasię.

wychodzi.

BARTEK:

Byle co i panoszy się.

BARTŁOMIEJ:

Niema się czemu dziwować. Jak człek całe życie robić musi, jak ten wół w jarzmie i to dla drugich — to i co takie życie warte? Skąd tu dobre słowo wziąć?

MARYCHNA:

Dużo krzywdy na świecie.

SCENA 17.

WOJTEK, KASIA i KUBUŚ:

wchodzą.

BARTŁOMIEJOWA:

Siadajmy do stołu.

WOJTEK i KUBUŚ:

siadają w kącie na ławie.

BARTŁOMIEJ:

No, Wojtek.

WOJTEK:

Zostawcie nas tu — jakoś raźniej w ciemnym kącie.

BARTŁOMIEJOWA:

nalewa kieliszki.

BARTŁOMIEJ:

wstaje.

Moje dzieci. — Radość to dla nas widzieć was. — E! co ta będę się w kaznodzieję bawił. Za tydzień zrękowiny i basta. Wasze zdrowie!

piją.

BARTEK:

podchodzi z kieliszkiem i flaszką.

Wojtek! Nie bądź krzywy — do ciebie.

WOJTEK:

Ano i Judasz przy uczcie pił z Panem Jezusem.

BARTEK:

Nie wiem — kto komu ma być Judaszem — bo ja ci na zdradzie nie stoję.

wypił i podał kieliszek Wojtkowi.

WOJTEK:

Do ciebie, Maryś! Żeby cię szczęście nie minęło.

MARYCHNA:

Ja już piłam.

WOJTEK:

Ode mnie jeszcze nie.

idzie do niej z kieliszkiem.

MARYCHNA:

Pij za mnie do Kasi.

wypiła.

WOJTEK:

Z ochotą, bo po tobie.

BARTŁOMIEJOWA:

Cóżeś Kasiu tak osowiała?

BARTŁOMIEJ:

Przyjdzie i na ciebie kolej — nie trap się. Już ja się postaram, że będziesz ze mnie rada — jak ino sobie chłopca znajdziesz.

BARTŁOMIEJOWA:

podeszła z chlebem i kielbasą do Kubusia.

Masz i idź do kuchni.

KUBUŚ:

Zostanę tu.

BARTŁOMIEJOWA:

✓ Jak chcesz — przypatrz się i ty naszemu szczęściu.

WOJTEK:

do Bartka.

Piłeś ty do mnie — to i ja do ciebie wypiję. —
Niech będą równe prawa.

BARTEK:

Zgoda! Wiedz, zem dobry i chcesz parobek,
a ja gospodarski syn — to przecie pamiętam, żeśmy
razem do szkoły chodzili. Szkoda ino, żeś do wojska
niezdatny. Zawsze się czegoś człek nauczy.

WOJTEK:

Ja tu nieraz, jak czasu dorwę, to książkę we-
zmę i czytam.

KUBUŚ:

Razem czytamy, a Baśka słucha i nieraz po-
płakuje.

WOJTEK:

Ty tu co? — Chodź do kuchni. Jutro się nie
będzie chciało wstać. — Pół godziny tarnosić mu-
szą. Chodź.

wychodzą.

BARTŁOMIEJ:

Wojtek — nie odchodź przecie.

BARTEK:

Zostawcie ich. Co ta służbie pchać się do stołu.

KASIA:

wstaje.

Muszę już iść.

BARTŁOMIEJ:

Widzisz. Uraziłeś ją.

KASIA:

Nie. Ja nie dlatego, — ale w chałupie niema nikogo.

BARTŁOMIEJOWA:

Weźże sobie do fartucha —

daje jej chleb i kielbasę.

piwa choć szklanę się napij.

nalewa.

KASIA:

wypiła trochę.

Bóg zapłać za poczęstunek.

wychodzi.

SCENA 18.

BARTŁOMIEJ:

Biedna Kaśka we Wojtka się zapatrzyła.

MARYCHNA:

Co mówicie?

BARTŁOMIEJ:

Ano tak.

MARYCHNA:

E — gdzieżby?

BARTŁOMIEJ:

Sama mi się przyznała.

MARYCHNA:

Jak to dobrze, że lampka zgasła.

BARTŁOMIEJOWA:

Co mówisz?

MARYCHNA:

Nic. — Tak mi się coś przypomniało.

BARTŁOMIEJOWA:

Cóżeś taka jakaś niesamowita?

MARYCHNA:

Ot, tak się baje.

BARTŁOMIEJ:

To od tych książek, które po nocach czytujesz.

BARTŁOMIEJOWA:

Nic nie jecie. Na darmom przynieść kazała.

MARYCHNA:

Mnie się jakoś i jeść nie chce.

BARTEK:

Niema radości wśród nas.

Chwila milczenia. — Za oknami w sadzie Wojtek gra na harmonii.

MARYCHNA:

nagle do Bartka.

Przyjdę kiedy do miasta odwiedzić cię.

BARTEK:

Możemy przez ten tydzień jechać.

MARYCHNA:

Bardzo ciekawa na wielkie miasto.

BARTEK:

Jest się czemu dziwować.

MARYCHNA:

Ej, szkoda, żem się panią nie urodziła.

BARTŁOMIEJ:

A czyż to nie jesteś panią?

MARYCHNA:

Daleko mi do tego — a takbym rada mieć taką izbę, jak — — jak na ten przykład proboszcz.

BARTEK:

Są ładniejsze od plebanowych.

MARYCHNA :

Widziałeś ?

BARTEK :

U naszego majora. Izba za izbą. Trudno zliczyć. Podłoga szkli się, jak szyba. Dywany, skóry na podłodze. Na ścianach lustra — obrazy — jakie obrazy. — Aż oczy patrzeć bołą.

MARYCHNA :

Jakie ? — jakie ?

BARTEK :

Pannice gołe.

MARYCHNA :

I co jeszcze ?

BARTEK :

Ciężko opowiedzieć.

MARYCHNA :

A on żonaty ?

BARTEK :

A jakże ?

MARYCHNA :

To się muszą bardzo kochać.

BARTEK :

A tak po swojemu. Raz się kochają, raz się kłóca.

MARYCHNA :

Kłóca się?!

BARTEK:

Jeszcze jak. Sam widziałem, jak raz aż szabli porwał i zamierzył się na żonę.

MARYCHNA :

Nie wszyscy widać jednacy. Ja raz słyszałam o takim, który mówił, żeby swoją ukochaną na rękach nosił — a tulił, a pieścił.

BARTŁOMIEJ:

do żony.

Niech się młodzi nagadają.

głośno.

Posiedźcie sobie. Ja muszę jeszcze parę snopków zrobić na jutro.

BARTŁOMIEJOWA:

Ciekawam, czy mi tam Baśka naczynie pomyła.

wychodzą.

SCENA 19.

Chwila milczenia.

BARTEK:

Komuż ten Wojtek tak przygrywa?

MARYCHNA :

Nie wiem. Pewnie samemu sobie.

BARTEK :

Może dla ciebie gra, bo i przypijał do ciebie. Powiedz, jeżeli go wolisz — to ja z nim o ciebie wojował nie będę.

MARYCHNA :

Nie dbam o niego.

BARTEK :

A o kogoż ty dbasz?

MARYCHNA :

Bo ja wiem?

BARTEK :

Pewnie o tego, od kogo masz książkę nabożną z obrazkami i ze zakładką.

MARYCHNA :

biegnie do komody.

Od tego ci wara.

BARTEK :

O, wyszło szydło z worka.

MARYCHNA :

Gdzie obrazki?

BARTEK :

Nie wziąłem. Może się gdzie rozsypały. — Musi

ci być ten ktoś bardzo miły, że tak dbasz o pamiętki po nim. Powiedz, cóż to za hołysz?

MARYCHNA:

słacze do niego.

Wara ci.

BARTEK:

O — oczybyś wydrapała za niego.

MARYCHNA:

A pewnie.

BARTEK:

To cóż mnie zwodzisz? To po to z wojska przyjeżdżał będę do ciebie, byś mi pod nosem o innym śniła?! By się we wsi potem ze mnie naśmiewali? Ho, ho — ja się nie dam wystrychnąć na dudka!

idzie ku sieni.

Gospodarze — chodźcieno tu.

MARYCHNA:

A powiedz — jak chcesz — już mi i tak ciężko z tą tajemnicą na sercu.

SCENA 20.

BARTŁOMIEJOWIE:

wchodzą.

BARTEK:

A — bardzoście mi radzi — wierzę, że bardzo, ale wy — nie ona.

BARTŁOMIEJ:

Bartku! cóż ty mówisz?!

BARTŁOMIEJOWA:

Marysia! Bój się Boga!

BARTEK:

A tak! Przyznała się. Ma kogoś.

BARTŁOMIEJOWA:

Prawda to?

BARTŁOMIEJ:

Mów, kogo?!

MARYCHNA:

Co wam do tego? — Mam jego — królewicza.

BARTŁOMIEJOWA:

Dziewucho — co ty pleciesz?

BARTŁOMIEJ:

Tak? Ano dobrze. Myśmy cię chowali — ciackali — boś jedynaczka — ale jak tyś taka, to ja tu inaczej z tobą potańcuję. Mów — kto to?

MARYCHNA:

Co wam do niego? Nie dorośliście.

BARTŁOMIEJ:

Owa! Jaki mi pan! Powiesz, czy nie?

MARYCHNA:

milczy.

BARTŁOMIEJ:

Dziewczyno! Nie drażnij mnie, — bo chwyć kija i kości pogruchotam.

chwytą za łaskę.

WOJTEK:

wskakuje do izby.

Wara od niej!

BARTEK:

O jest — jest królewicz! Ha — ha! Znalazł się.

WOJTEK:

Ino się jej kto dotknijcie — to ze mną sprawa!

BARTŁOMIEJ:

Co? jeszcze grozisz? Ze służby wyrzucę!

BARTEK:

A to wasza córuchna oczy gdzieś podziała, że sobie takiego niedorajdę upodobała.

WOJTEK:

groźnie do Bartka.

My się jeszcze nie zmierzyl — nie wiadomo, kto niedorajda!

BARTEK:

Zmierzymy się! Przyjdzie czas! Nauczę cię, co to dziewczkę z przed nosa zdmuchnąć!

wychodzi.

BARTŁOMIEJ:

Bartek! Ta nie odchodź. Co zważasz, jak psi szczekają.

BARTEK:

Piastujcie ją dla parobka.

trzasnął drzwiami i wyszedł.

BARTŁOMIEJ:

idzie za nim.

BARTŁOMIEJOWA:

I takiego chłopca odepchnąć! A poczekaj!

wychodząc.

Barteczku — ta się wróć — ona musi być twoją.

WOJTEK:

Maryś! Ty moja! Nie bój się nic! Nie dam im cię! Będę jak pies wartował przy tobie. Tu siędę — spał nie będę, a wartował będę. Maryś! Tyś przezemnie nieszczęśliwa. Ja ci wynadgrodzę!

chce ją wziąć w swoje ramiona.

MARYCHNA :

Daj mi spokój! Takiś ty, jak i on! Wszyscyście
głupcy!

wyskakuje oknem.

WOJTEK :

Maryś ?!?

Zasłona.

AKT II.

*Ta sama izba. Godzina poobiednia. W sadzie cisza.
W powietrzu czuć duszną atmosferę, jak przed burzą.*

SCENA 1.

MARYCHNA:

siedzi na skrzyni.

BARTŁOMIEJ:

*wchodzi od sieni — kładzie kapelusz na stole — popa-
trzył na Marychnę. — Chwila milczenia.*

Byłem u proboszcza.

MARYCHNA:

Po co?

BARTŁOMIEJ:

Po co? Po to — żeby się poradzić, jak złęgo
ducha z ciebie wygnąć.

MARYCHNA:

To, co pokochałam, tego nie odbierze mi nikt.

BARTŁOMIEJ:

Pleban kazał, byś przyszła do niego.

MARYCHNA:

Nie pójdę.

BARTŁOMIEJ:

Ja każę.

MARYCHNA:

E — coście się zawzięli.

BARTŁOMIEJ:

Nie zawzięłem się, ale gdy widzę, że mi jedyne dziecko błądzi, to mam z założonemi rękami siedzieć?

MARYCHNA:

Tak musi być, jak jest.

BARTŁOMIEJ:

Od kiedy to grzech musi być?

MARYCHNA:

To nie grzech — to natura woła.

BARTŁOMIEJ:

Kto ciebie tego nauczył — dziewczyno. —
Chciałbym ja wiedzieć.

MARYCHNA:

Mój królewicz złoty.

BARTŁOMIEJ:

No, no — prędzej, czy później dostanę ja go
w ręce — ale marny będzie wtedy jego los.

MARYCHNA :

Nie wiecie kto i grozicie.

BARTŁOMIEJ:

Niech będzie, kto chce — nie będę o nic pytał — nie będę na nic patrzył — niechby był dziedzic, albo nauczyciel, choćby i sam wikary. — Już ja mu pokażę królestwo złote. Widzieli go tu — Kubuś widział, jak się ktoś sadem między drzewami skradał, gdyśmy w polu robili.

MARYCHNA :

Kogo ta mógł Kubuś widzieć.

BARTŁOMIEJ:

A przecież widział.

MARYCHNA :

Co, widział go? Prawdę mówicie?

BARTŁOMIEJ:

Jak tu żywy stoję.

w sadzie Wojtkowe słycać granie.

MARYCHNA :

w słuchuje się.

BARTŁOMIEJ:

Ten też zamiast do roboty — to na harmonii ciągle gra.

MARYCHNA:

Cichajcie!

BARTŁOMIEJ:

Miłe ci granie. A i Bartek umie grać i piosenki śpiewa — a cóż, odepchnęłaś go — dotknęłaś go na honorze. Już się nie pokaże.

MARYCHNA:

Cichajcie!

BARTŁOMIEJ:

Myslałem, że się upamiętasz. — Jeszcze byłby czas Bartka przeprosić. Jutro będzie za późno. — Pojedzie i więcej się nie pokaże.

MARYCHNA:

Dobrze zrobi. Na grosz łąpczywy — nie na mnie.

BARTŁOMIEJ:

A cóż ty myślisz, że ja cię dam byle jakiemu hołyszowi?

Do harmonii Wojtkowej Kubuś dołącza melodyę swojej fujarki.

O, i ten — także o graniu ino myśli. — Jak tak dalej pójdzie, to zejdziemy na dziady. Nie mam kim pola obrobić. — Starzy śpią, a młodym muzyka w głowie.

chwila milczenia.

Jakże będzie z Bartkiem?

MARYCHNA :

Nie wiem.

BARTŁOMIEJ:

Już teraz nie będzie chciał. Zresztą ma słuszną ność. Któż to ta może wiedzieć, z kim ty się zada-
wałaś. Może ci już i o dziecku trzeba będzie my-
śleć. Takiemu uwieść dziewczynę — to przecież
fraszka.

MARYCHNA :

Cichajcie! Grają.

BARTŁOMIEJ:

Ja swoje, a ty swoje.

po chwili.

No więc jakże? Pójdiesz do proboszcza?

MARYCHNA :

Nie pójdę.

BARTŁOMIEJ:

A to niech cię psia krew...

wychodzi, trzasnąwszy drzwiami.

SCENA 2.

MARYCHNA :

biegnie do okna.

Chodźcie — chodźcie tu bliżej. Siadajcie pod
oknem i grajcie.

muzyka milknie.

WOJTEK:

w oknie.

Rada słuchasz?

MARYCHNA:

O i jak jeszcze. — Kubuś powiedz, widziałeś go?

KUBUŚ:

Kogo?

MARYCHNA:

Mówiłeś ojcu, żeś widział — jak między drzewami w sadzie wymykał się. Widziałeś?

KUBUŚ:

Uhm.

MARYCHNA:

Dawno?

KUBUŚ:

Wtedy, jak Bartek u nas był.

MARYCHNA:

A od tego czasu?

KUBUŚ:

Nie widziałem.

MARYCHNA:

Grajcie.

WOJTEK:

Ja gram, bo rada słuchasz — a kto inny twój kochanek.

MARYCHNA:

Kto wie. Może i ty. Różne szczęście. Mówiłeś mi o Ameryce. Hej, hej — daleki świat — dziwny świat. — A tak mnie w niego ciągnie.

WOJTEK:

I mnie!

KUBUŚ:

I mnie!

usiedli pod oknem — grają.

SCENA 3.

usiadła na ławie i zamysliła się — utkwiła wzrok w drzwi wiodące do sieni, jak gdyby kogoś czekała. — Drzwi od sieni otwierają się zwolna.

ON:

wszedł do izby — ubrany w czarny płaszcz długi — kapelusz w ręce i laska — boso nogi — idzie cicho, bez szelestu i zwolna zbliża się do Marychny — staje nad nią.

MARYCHNA:

w zadumie nie widzi go.

ON:

szeptem.

Marychna! Marychna!

MARYCHNA :

To ty? — Ty mój królewiczu? Gdzieś był?
Gdzieś chodził?

ON :

Daleką odbywałem drogę. Budziłem do życia
ludzi. Co postąpiłem krok — w łonie matek życie
się budziło. Przyszedłem i do ciebie.

MARYCHNA :

Ja nie chcę być matką.

ON :

Już i na ciebie czas.

MARYCHNA :

Mów mi o sobie.

ON :

Zbyteczne słowa. — Mówi za mnie sad. Mó-
wią za mnie pola i zżęte łąny i schnące na łąkach
trawy. — Mówi o mnie Wojtkowe granie i Kubu-
siowa fujarka.

MARYCHNA :

Żeby cię ino nikt nie obaczył — bo mój oj-
ciec ci grozili.

ON :

Ojciec twój sam zwołał mnie ku tobie i matka
twoja. Teraz pcsnęli w kuchni obok siebie. Odeszły
od nich troski precz i w kochaniu oddali się so-
bie — bom poprzed oknami kuchni przeszedł.

MARYCHNA :

Kochanie ty moje — mój królewiczu — mój ty śnie. — Wiesz — do kościoła chodzić mi się nie chce.

ON :

Bo inny Bóg w twojem sercu zamieszkał.

MARYCHNA :

Ty?

ON :

Ja.

MARYCHNA :

Nie odchodź dzisiaj prędko. — Wtedy szukałam cię po polach, po lasach. — Zamiast ciebie Bartek przyszedł ze śpiewaniem. Nie daj ty mnie jemu.

ON :

Twoja wola.

MARYCHNA :

Boję się, bo ojcowie grożą nieraz — do spowiedzi każą iść do plebana. A jam sobie ślubowała, że będę twoją. Kiedy przyjdiesz i weźmiesz mnie — i zaprowadzisz w daleki świat? — Chciałabym widzieć miasta wielkie — ludzi bogatych.

ON :

Jednaki wszędzie świat — czy tu — czy tam.

MARYCHNA:

A kochanie także jednakie?

ON:

Nawet gdy listki drzew się całują.

MARYCHNA:

I wszystko? — wszystko do kochania stworzone?

ON:

Nawet trupy, gdy w ziemi gniją.

MARYCHNA:

Ach! Nie mów o zmarłych. — Nic nie mów. Radosna jestem, żeś wrócił. Nie mów nic, a głowę moją weź w swoje dłonie i usta moje całuj.

ON:

całuje ją.

MARYCHNA:

Jak dobrze przy tobie. — Gorąco dziwne idzie w ciało. — Chodź na matuline łóżko. Nikt nie dojrzy — nie posłyszysz. Tamci grają, starzy śpią.

ON:

bierze ją za rękę i prowadzi do drugiej izby. — Muzyka za oknami cichnie. Spokój niczem niezamącony.

SCENA 4.

WOJTEK:

pod oknem.

Hej! Żeby to Marychna chciała.

KUBUŚ:

pod oknem.

Ma innego. Widziałem, sadem szedł. — Czarny jakiś pan, aż się i krowy jemu przyglądały.

WOJTEK:

I gdzie poszedł?

KUBUŚ:

Nie wiem. Psia para buhaj zaczął broić z krowami. Musiałem go do stajni zagnać — a tamtego z oczu straciłem. A mówię ci, jak szedł — to wietrzyk dmuchał i kwiatki się ku sobie chyliły i drzewa szumiały. Myślałem, żeś go widział, boś od pola gnał. Wiesz, po ten powróż.

WOJTEK:

Pamiętam.

KUBUŚ:

I potem Bartek przyszedł, ale go Marysia nie chciała.

WOJTEK:

I mnie nie chciała.

KUBUŚ:

W tamtym zakochana. — E — trzaby mi krowy
gnać na paszę.

WOJTEK:

Zagrajmy jeszcze co Marysi — potem i ja do
roboty muszę.

grają.

ON:

*przechodzi przez izbę — zawiera za sobą cicho drzwi.
Po chwili widać go, jak chyłkiem zmyka poprzez sad.*

SCENA 5.

MARYCHNA:

wchodzi — idzie do okna.

Dosyć grania! Robota czeka! Kubuś idź —
obudź gospodarzy — niech matka dadzą ci jurzynę
i bydło gnaj! Wojtek, siano suszyć!

idzie do sieni — słycać jej głos.

Wstawajcie! Coście posnęli. — Jeszcze nie
wszystko z pól zwiezione!

wraca do izby.

WOJTEK:

w oknie.

Maryś!

MARYCHNA:

Daj mi spokój.

WOJTEK:

Chwileczkę tylko.

MARYCHNA:

Czego chcesz?

WOJTEK:

Hej! żebyś ty to posłuchała, czego ja chcę.

MARYCHNA:

Wiem — kochania ci się chce.

WOJTEK:

Nie, Maryś. — Dwa, trzy słowa żebyś mi życzyliwie rzekła.

MARYCHNA:

Kasia tam na ciebie przy drodze czeka, a popłakuje nieboga. Nieszczęsna jej dola.

WOJTEK:

I moja nie inaksza.

MARYCHNA:

To po cóż mi się patrzysz w ślepie?

WOJTEK:

Któż jak nie ty patrzeć kazał? Parobek byłem cichy. Pracowałem, a oczu nie śmiałem podnieść na gospodarską córkę, i tak byłbym w sobie zgryzł bole, gdybyś nie ty sama pokusiła. Nie wiem, co za czart

ci tam wtedy pokusy szeptał — ale była w twoich słowach taka moc, że mi od onego czasu nigdzie spokoju, ni wytchnienia. Bartkaś odrzuciła — myślałem, że dla mnie, aleś ty i ze mną nie inaczej postąpiła. Tylko, że Bartek i ja, to inniśmy ludzie. On przypił w karczmie — pośpiewał przy muzyce — przeklął — i ma spokój — a ja? ja — czy chcesz wiedzieć, co ja zrobię?

dobywa powróż ze zanadrza.

Widzisz ten powróż? — On mnie do ciebie przywiódł — on mnie od ciebie uwolni.

MARYCHNA:

Nie bądź głupi. — Jeszcze mogę być i twoją.

WOJTEK:

Gdy się kto inny tobą nasyci. — Ha! opętało mnie — opętało. I chociaż wiem, że ty o innym myślisz — innego kochaniem darzysz — to przecież od ciebie się nie mogę oderwać. Nic mi nie pomoże — ino ten powróż. Kupiłem go od gospodarzy i przepasałem się i wżera mi się w ciało — już mi pręgę czerwoną naznaczył.

BARTŁOMIEJ:

od sadu.

Wojtek! Nie leń się. — Zjedz jurzynę i jedź do pola.

WOJTEK:

Już mnie i ochota do roboty odeszła. Maryś!

6*

Wrócę wieczorem — to w sadzie siędę i będę ci grał — choćby i nockę całą.

MARYCHNA :

Jak ta chcesz.

WOJTEK:

chce odejść.

MARYCHNA :

Wojtek!

WOJTEK:

Co Maryś?

MARYCHNA :

A do Ameryki masz jeszcze ochotę jechać?

WOJTEK:

Z tobą?

MARYCHNA :

Choćby i ze mną.

WOJTEK:

Hej, hej, Maryś! — Czasem to tak zagadasz, że zdaje się człekowi, jakby cały świat był jego.

MARYCHNA :

E — tak się ino pytam — bo mi tęsknica jakaś włazi w duszę, a wtedy radabym precz od waszych chałup — pól i sadów i choćby na skraj świata — między innych ludzi. No, idź Wojtku —

idź — a jak nocka nadejdzie — to mi zagraj —
może i rada posłucham.

WOJTEK:

Dobrze, Maryś.

odchodzi.

SCENA 6.

BARTŁOMIEJOWA:

wchodzi z koszykiem ziemniaków.

Masz tu ziemniaki do skrobania — te drobne
też ugotuj — będą do dojenia.

MARYCHNA:

Dobrze, mamó.

BARTŁOMIEJOWA:

głaszcze ją.

Córuś moja. Biedna córuś. Ja ta wiem, co ko-
chanie. I ja wolałam wójta, a poszłam za kogo innego.
Cóż robić? No, nie trap się. Ojciec się udobruchał.
Ja go udobruchałam. Wrócimy — to jakoś zaradzimy
złemu.

ode drzwi.

A do proboszcza swoją drogą możesz iść. Nie
zaszkodzi — a może pomódz. Nie ty pierwsza i nie

ty ostatnia, i gdyby nie ludzie... bo plotek więcej bać się trzeba, jak samej rzeczy.

wychodzi i wraca.

Jakoś parno dzisiaj. Kto wie, czy nie będzie burzy. — Gdyby deszcz zaczął padać, to nie zapomnij zebrać prania z płotu.

wychodzi.

MARYCHNA :

Dobrze.

postawiła koszyk na ławie przy oknie — sama usiadła na skrzyni — ręce zarzuciła w tył i spoczęła w bezruchu. — Z pola słychać nawoływanie.

KUBUŚ :

Zazula — nawróć się! — Gaździna! Z tym byczkiem poradzić nie można. — Możeby go zamknąć w stajni?

BARTŁOMIEJOWA :

A zamknij.

słychać pobrzęk łańcuchów i trzask z bata.

WOJTEK :

Wio siwy!

gwar podwórkowy ucisza się.

MARYCHNA :

ciągle jeszcze nawpół siedzi, nawpół leży na skrzyni — otwartymi oczyma patrzy przed siebie w dal. — Pauza.

SCENA 7.

WÓJT:

stanął w oknie.

Dobre popołudnie.

milczenie.

Co to — niema nikogo?

MARYCHNA:

Sama jestem.

WÓJT:

A, jesteś Marysiu — to dobrze — bo ja właśnie do ciebie.

odchodzi od okna — po chwili wchodzi.

Cóż to z tobą słyhać? Ojcowie się skarżyli proboszczowi. Pleban jest u mnie. Kazał ci przyjść.

MARYCHNA:

Po co?

WÓJT:

Ja nie wiem, po co — ty ta wiesz lepiej.

MARYCHNA:

nie ruszając się z miejsca.

A wiem — ale i tak nie pójdę.

WÓJT:

Radzę iść.

MARYCHNA:

Nie ciekawam go słuchać.

WÓJT:

Jak chcesz, ale lepiej wysłuchać w cztery oczy, choćby przy mnie, to ja wójt — słyszeć mogę — anizeli, żeby pleban z ambony wywoływał grzechy.

MARYCHNA:

Jakie grzechy? Powiedzcie, jakie? To, że Bartka nie chcę — to grzech?

WÓJT:

To ta mniejsza — ale przecież jest powód, że Bartka nie chcesz.

MARYCHNA:

Pewnie, że jest.

WÓJT:

O to właśnie rzecz.

MARYCHNA:

Nie chcę, bo mi się nie podoba.

WÓJT:

E, zaś ta, żeby ino dlatego, że się nie podoba — nie wydaje mi się. Majętny, krzepki — przy wojsku wysłuży.

MARYCHNA:

Ja go i tak nie kocham.

WÓJT:

Przyjdzie kochanie samo, jak ta ino pierwszą
nockę prześpicie — najlepsze ślubowanie. Ja także
twoją matkę kochałem i ona mnie kochała, a roze-
szliśmy się i dziś nie narzekamy.

MARYCHNA:

Alebyście byli woleli żyć ze sobą.

WÓJT:

Może.

MARYCHNA:

A widzicie.

WÓJT:

Zresztą — co mnie przychwytyjesz? Chodź —
pleban czeka.

MARYCHNA:

Nie pójdę.

WÓJT:

Ejże — bo siłą sprowadzę.

chwytą ją za rękę.

Pójdź — ja, wójt, każę.

MARYCHNA:

Czy i nad kochaniem macie władzę?

WÓJT:

Tać nie mówię.

MARYCHNA :

No to mnie puśćcie.

WÓJT :

Ho, ho — jak raz chwycę — to nie puszcze.

MARYCHNA :

Pomyślę, żeście przyszli droczyć się ze mną — albo mnie napastować.

WÓJT :

A zawsze pusto w głowie. Pewnie cię parobki napastują.

MARYCHNA :

I jak jeszcze. Moglibyście im przykazać, by mi spokojnie przez wieś przejść dali.

WÓJT :

Ha — napastują — a po cóż masz takie lica gładkie i te ślepki zupełnie jak mamusine wtedy, gdyśmy się kochali. I dla któregoż to chowasz ?

MARYCHNA :

Bo ja wiem.

zdala słysząc nadchodzącą burzę.

Cichajcie! Idzie z daleka.

WÓJT :

Kto ?

MARYCHNA:

On — królewicz złoty — idzie — woła.

WÓJT:

Burzę słyhać. — Parno dziś — deszcz się przyda. Porosną trzecie trawy.

odgłos burzy powtarza się.

MARYCHNA:

Idzie. Niedługo pewnie wejdzie do sadu.

WÓJT:

patrzy w sad.

Wiatr się zrywa.

MARYCHNA:

Drzewa się wołają.

stoi zapatrzona w sad z łókciami ponad głową.

WÓJT:

popatrzył na nią.

Aleś ty Maryś urodziwa — he, he — jak jej to oczy błyszczą. I na kogoż to czekasz? Cóżeś zamilkła? Maryś — powiedzno mi — mnie wójtowi rzec możesz — straciłaś już z kim wianek?

MARYCHNA:

Chowam go dla niego.

WÓJT:

A nie przychodzi?

MARYCHNA :

Był dziś i oszedł i łoża ze mną nie dzielił
i zostawił mnie w męce myślenia o rozkoszach.

WÓJT :

Maryś — wiesz ty — co ci rzeknę — mam radę.

MARYCHNA :

Macie? — Mówcie.

WÓJT :

Mam radę — mam.

MARYCHNA :

Mówcie.

WÓJT :

A co za poradę dostanę?

MARYCHNA :

Co chcecie?

WÓJT :

szeptuje jej do ucha.

Dobrze?

MARYCHNA :

Dziś nocą?

WÓJT :

Dziś!

MARYCHNA :

Dobrze. — Mówcie.

WÓJT:

U mnie w ogrodzie rośnie rutwica. Nikt nie wie — co za ziele. — Gdy do mnie przyjdiesz — dam ci narwać. — Wysuszysz na słońcu — a potem w wodzie wygotujesz i wykąpiesz się trzy razy.

MARYCHNA:

Trzy razy?

WÓJT:

Trzy razy. A wtedy przyjdzie ten, który ci przeznaczony. Ze świeżego zaś ziela — wianek uwijesz i nad łóżkiem sobie powieszysz.

MARYCHNA:

Przyjdzie pewnie?

WÓJT:

Najpewniej. A teraz muszę iść. Plebanowi powiem — — co ja mu powiem? E! — nic mu nie powiem. — Dam mu kopę jaj — to zapomni, po co przyszedł. Z Bogiem Maryś. Nocką czekam.

MARYCHNA:

Przyjdę.

WÓJT:

Drzwi będą ino przywarte.

wychodzi. — Burza bliska.

WÓJT:

wraca.

Z pola wracają przed burzą. Jakby się pytali,

po com był, to powiedz rodzicom, że ich do karczmy proszę.

wychodzi.

SCENA 8.

Deszcz zaczyna padać. W pobliżu piorun w starą uderzył wierzbę.

MARYCHNA :

biegnie do okna, otwiera je szeroko — patrzy w sad — wyciąga ręce na deszcz, w dłonie chwytła duże krople, myje niemi twarz, szyję, piersi, pije deszczową wodę namiętnie — cała oddaje się tej czynności, jakby się chciała spoić z żywiołową naturą. Mało jej tego — więc rzuca stanik, fartuch, spodnicę — zostaje w jednej koszuli, długiej, zgrzebnej — włosy zwolniła z warkoczów i oknem wybiegła do sadu. Widać ją, jak biegnie wśród deszczu — chwytła kwiaty, tuli je do siebie — przy drzewach staje, cisnąc się do nich swem ciałem. Wśród tego raz po raz wybucha głośnym śmiechem. Zniknęła w sadzie. — Słychać jeszcze jej śmiech coraz się oddalający. Piorun uderzył w pobliżu i zaśmiała się Marychna i dwa te głosy zlały się w jeden potężny śmiech natury.

SCENA 9.

BARTŁOMIEJOWIE :

wchodzą zmoczeni.

BARTŁOMIEJOWA :

wyjmuje z komody gromnicę, zapala ją — zamyka okna — bierze książkę nabożną i modli się przy gromnicy.

BARTŁOMIEJ:

różańca dobył i chodząc po izbie, przesuwa milcząc paciorki.

WOJTEK:

wchodzi po chwili.

Wójt mnie spotkał. Kazał powiedzieć, byście przyszli do karczmy, jak burza przejdzie.

BARTŁOMIEJ:

w milczeniu skinął głową.

WOJTEK:

po chwili.

Gdzie Marychna?

BARTŁOMIEJ:

modląc się, idzie do drugiej izby — wraca — zobaczył ubranie Marychny pod oknem.

Pewnie się ubrała i poszła do proboszcza.

ruchem głowy wskazał żonie na szaty Marychny.

BARTŁOMIEJOWA:

Że też nawet posprzątać się jej nie chce po sobie.

zbiera przyodzież i układa na skrzyni.

Jeżeli masz iść do karczmy, to się przyodziej.

WOJTEK:

Wójt mówił, by gospodyni też przyszła.

BARTŁOMIEJ:

Pewnie nas chce z Bartkiem przeprosić.

BARTŁOMIEJOWA:

A pewnie.

*dobywa ze skrzyni ubranie dla męża i swoje spódnice. —
Piorun tuż za oknami.*

BARTŁOMIEJOWIE:

żegnają się.

BARTŁOMIEJ:

To w naszym sadzie.

BARTŁOMIEJOWA:

trwożnym głosem śpiewa.

„Kto się w opiekę...”

BARTŁOMIEJ:

wtóruje jej — wśród tego ubierają się do karczmy.

SCENA 10.

KASIA:

wchodzi.

Niech będzie pochwalony.

BARTŁOMIEJOWA:

Na wieki.

KASIA:

Uciekłam przed deszczem do waszej stodoły —
ale pioruny biją tak blisko, że mi strach samej. —
A to ulewa.

WOJTEK:

idzie ku drzwiom.

BARTŁOMIEJ:

Wojtek — zostańże. — Gdzież pójdziesz na
taki czas?

WOJTEK:

milczy.

BARTŁOMIEJ:

Przecież nie masz nic do roboty. Widzisz —
Kasia przyszła. Siądźcie na ławie i pogwarzcie sobie.

KASIA:

Ja zaraz idę, tylko deszcz ustanie.

BARTŁOMIEJ:

Posiedź. My wychodzimy, bo się mamy spotkać
z wójtem w karczmie. — Marysia pewnie zaraz przyj-
dzie. — No, Kasiu.

KASIA:

Jabym została, żeby było z kim pomówić.

BARTŁOMIEJ:

A z Wojtkiem.

KASIA:

Wojtkowi ta kto inny w głowie.

BARTŁOMIEJ:

Nie taki on twardy, jak ci się zdaje — a to, że się za Marysią ujął, to przecież tylko o jego dobrem sercu świadczy.

KASIA:

O dobrem sercu, ale nie ku mnie, a ku Marysi.

BARTŁOMIEJ:

No i cóż ty Wojtek na to — nie zaprzeczysz? Powiedź jej, że się myli.

KASIA:

Co go ta nagadujecie. Będzie myślał, że mi się tak gwałtem chce jego kochania.

BARTŁOMIEJ:

Bo i po co ukrywać. Jakże się będziecie kochali, jeżeli nie będziecie nic wiedzieć o sobie? Tak Wojtku, tak — rada ci Kasia — a gdy i ty będziesz jej rad — to ja jej na posag nie poskapię i wyprawa dla niej razem z Marysiną szyc się będzie.

KASIA:

Jego nawet i to ku mnie nie zniewoli.

BARTŁOMIEJ:

Pomyśl chłopie — jakby to dobrze ci było,

gdybyś tak bez niczego z parobka na gospodarza wyszedł — bo grunt dla ciebie mam upatrzony, a w lesie u mnie drzewa dość. Jest z czego i chałupę wystawić i stodołę i stajnię.

WOJTEK:

Bóg wam zapłać za waszą dobroć — ale...

BARTŁOMIEJOWA:

Szczęście samo ci w rękę lezie.

WOJTEK:

Szczęście. — Któż ta wie, gdzie jego szczęście?

BARTŁOMIEJ:

Twoje przy Kasi.

chwila milczenia.

No i jakże?

WOJTEK:

milczy.

BARTŁOMIEJ:

No?

KASIA:

Dajcie mu spokój. — Jemu się Marysi chce.

BARTŁOMIEJ:

Słuchaj Wojtek — bo ja to już od paru ludzi słyszę — ale ty sobie nie myśl, bym ja miał dla ciebie Marysię.

WOJTEK:

A mówiliście sami, że gdybyście mieli drugą córkę...

BARTŁOMIEJ:

Myślałem o Kasi. Ona jakby druga córka, ale co do Marysi, to wara! — Chodź stara, bo deszcz zelżył.

wychodzi.

BARTŁOMIEJOWA:

wychodząc.

Takie szczęście mu się trafia.

SCENA 11.

Chwila milczenia.

KASIA:

Wojtku, nie gniewaj się na mnie — ja ich nie prosiłam.

WOJTEK:

Gniewać się? — Chyba na siebie samego. — Bo ja wiem, jaki mnie czart opętał do niej? Ale to ci mówię, że ktoby mi stanął na drodze, to zabiję!

KASIA:

Jezus, Marya!

WOJTEK:

Tak, zabiję — choćby potem i szubienica mnie czekała!

KASIA:

A jak Marychna cię nie będzie chciała?

WOJTEK:

To wtedy sam się powieszę — na tym sznurze. — Mocny sznur — he, he. — Dwóchby takich udźwignął.

KASIA:

Biednys ty Wojtku.

WOJTEK:

A co mi tam. Nikt wieczności nie przeżyje — ale ją mieć muszę.

SCENA 12.

BARTEK:

wchodzi.

Kogóż to mieć musisz?

WOJTEK:

Tobie co do mnie?

BARTEK:

Tak się pytam.

WOJTEK:

A mnie się nie chce odpowiedzieć.

BARTEK:

Jak ta chcesz. — Nie wiesz Kasiu, gdzie gospodarze?

KASIA:

Poszli do karczmy. Chciałeś co od nich — to idź tam — są z wójtem.

BARTEK:

Chciałem im ino za poczęstunek wrócić. Tu są pieniądze, a pilnuj, żeby ich kto nie ukradł.

WOJTEK:

Co, ty do mnie pijesz?

BARTEK:

A do ciebie.

WOJTEK:

Cóżem ci to kiedy ukradł?

BARTEK:

A Marysia? — psia krew!

KASIA:

Jezus — oni się pobijają.

wybiega.

WOJTEK:

Marysia! Marysia ma swoją wolę. Jakby była ciębie chciała, tobym ja ci ta pewnie w drodze nie stał.

BARTEK:

O! Toś ty, jak widzę, bardzo na mnie łaskawy. Gdybyś ty mi w drodze nie stał — toby była moja. Ale tobie się zachciało zakosztować mleka, gdym ja już spił śmietankę. No i cóż, smakowało ci?

WOJTEK:

Dyabli ci do tego!

BARTEK:

Ciekawym, czy i tobie pozwalała się wyściskać, jak mnie.

WOJTEK:

rzuca się ku niemu.

Ty!

BARTEK:

Co?!

stają groźnie naprzeciw siebie.

SCENA 13.

MARYCHNA:

wchodzi, tak jak wyszła w koszuli tylko, tak wraca deszczem zlaną. Koszula przylepiła się do jej ciała — zmokłe włosy oplotły szyję i ramiona — wbiega ze śmiechem — w ręce ma duży bukiet rutwicy. — Na widok parobków staje.

WOJTEK i BARTEK:

popatrzyli na nią.

WOJTEK:

przecierając oczy.

Marychna — to ty?

BARTEK:

A ona. — Nie poznajesz to? Przecież te same włosy i lica i piersi — to samo ciało — ciało jak mleko. — Szkoda ino śmietanki.

WOJTEK:

zapatrzony ciągle w Marychnę.

Gdzieżeś chodziła w taki czas?

BARTEK:

U królewicza była swego.

MARYCHNA:

zaśmiała się głucho.

WOJTEK:

Co za ziele w ręce niesiesz?

MARYCHNA:

Rutwica! Ukradłam wójtowi.

BARTEK:

Toś niby u wójta była? He, he. — Możesz kłamać, ale nie przedemną. Po zapachu poznać, gdzieś była i coś robiła.

WOJTEK:

Wdzieje na się przyodziewę.

BARTEK:

A czyż jej to tak nie pięknie?! — Mnie czas w drogę. Daj Maryś na pożegnanie pocałować lica. Może co zostało i dla mnie po drugich.

chce ją objąć.

WOJTEK:

przyskakuje do niego.

Wara ci!

BARTEK:

Z drogi chuderlaku.

odtrąca go.

WOJTEK:

porwał nóż z komody.

Ty psia krew — przestań mnie raz dręczyć.

BARTEK:

wyrywa mu nóż.

Złodziej i zbój!

rzuca nóż.

WOJTEK:

Na takiego jak ty draba, to i dobra pięść wystarczy!

podnosi pięść i chce mu zadać cios w czoło.

BARTEK:

nadstawił ramię i odrzucił uderzenie Wojtką. -- Porwali się na siebie — bez słów — dysząc, szamotają się chwilę.

MARYCHNA :

*wśród tego usiadła na stole, położyła zielę obok siebie
i spokojnie wije wianek.*

BARTEK:

*po chwili szamotania wyrzucił Wojtkę do sieni — zasuwą
zaryglował drzwi — zwraca się do Marychny — ode drzwi.*

Dziś nocą jadę — ale przedtem musisz być
moją!

MARYCHNA :

*upuściła z ręk wianek — wylekła czekę — nie śmiejąc
się z miejsca ruszyć.*

BARTEK :

rozpinając mundur.

No Maryś, z wolą — czy po niewoli będziesz
moją!

w drzwi od sieni silne uderzenia pięścią.

Zasłona.

AKT III.

Izba ta sama. Okna przymknięte. W sadzie jesień i szaruga. — Niedzielne popołudnie.

SCENA 1.

MARYCHNA:

układa w skrzyni przyodziewę — raz po raz odrywa się od roboty — idzie do okna i nadaremnie czegoś wyczekuje. Wraca do skrzyni — dobywa książkę schowaną w przyodziewach — czyta raz w jednym miejscu, raz w drugim. Chową książkę — idzie znowu do okna — potem drzwi od sieni uchylila. — W ruchach ociężałość.

Kubuś!

KUBUŚ:

w sieni.

He?

MARYCHNA:

Chodźno na chwileczkę.

KUBUŚ:

wchodząc.

A czego?

MARYCHNA:

Masz fujarkę?

KUBUŚ:

Za paskiem ją ciągle noszę.

MARYCHNA:

Siądź sobie tu na ławie i zagraj mi coś.

KUBUŚ:

A co?

MARYCHNA:

Coś tęsknego, rzewnego tak, bym zapłakać mogła.

KUBUŚ:

Po cóż chcesz płakać?

MARYCHNA:

Zdaje mi się, że ze łzami odeszłyby odemnie moje chęci — wylałyby się i tęsknica i rozpogodziłby mi się potem świat.

KUBUŚ:

Jak ta chcesz — ino nie wiem, czy ci do woli utrafię.

próbuje tonów.

A ja wiem — dlaczego ci tęskno. Nie dadzą ci iść nigdzie — ani do kościoła.

MARYCHNA:

A niech ich tam.

KUBUŚ:

A dlaczego oni ci tego zabraniają?

MARYCHNA :

Choćby i pozwolili, tobym i tak nigdzie nie szła.

KUBUŚ :

A czemu ?

MARYCHNA :

Bo mi wstyd.

KUBUŚ :

Czego ?

MARYCHNA :

Graj Kubuś. — Niedługo wrócą z nieszporów.

KUBUŚ :

próbuję fujarki.

MARYCHNA :

Powiedz mi jeszcze, mój Kubusiu, czy ty mnie lubisz ?

KUBUŚ :

Jeszcze się pytasz!?

MARYCHNA :

głaszcze go.

KUBUŚ :

A cóż ci z tego przyjdzie ?

MARYCHNA :

Bo mnie się zdaje, że mnie nikt nie kocha.

KUBUŚ:

Co też ty mówisz? — przecież Wojtek.

MARYCHNA:

Kto wie, czy on mnie kocha.

KUBUŚ:

Jak to — dzisiaj wasze zrękowiny i nie kochałby cię?

MARYCHNA:

Tak mu się zdaje. — Mój Kubuś. — Jakby ci ładnie było, gdybyś miał długie włoski — złotą koronę na głowie — mieczyk u pasa.

KUBUŚ:

Dziwy mi mówisz — dziwy! Ha, i jabym rad, ale cóż — pastuch — skąd wziąć?

MARYCHNA:

A powiadają, że jest inny świat, gdzie są królewicze.

KUBUŚ:

Wiesz Maryś, co ci powiem: Taki świat musi być bardzo daleko.

MARYCHNA:

Pocałuj mnie.

KUBUŚ:

Ale nie powiesz Wojtkowi, boby mnie ubił.

MARYCHNA :

Nikommu nie powiem.

KUBUŚ :

całuje ją.

MARYCHNA :

A teraz graj mi — graj tęskno, rzewnie. —
Chodź — ja usiedę tu na stole — a ty u moich
nóg — i graj — o tak.

KUBUŚ :

gra.

MARYCHNA :

marzy.

KUBUŚ :

przerywa — patrzy na nią.

Jeszcze nie płaczesz? Widać moje granie za li-
che dla ciebie.

MARYCHNA :

Nie — nie — graj. Nie granie twoje za liche,
ale we mnie łez niema.

po chwili.

Liście padają z drzew. — Nie przyjdzie pewnie
złoty królewicz.

KUBUŚ :

Niby Wojtek?

MARYCHNA :

Graj — nie mów do mnie nic. Ja tak sama ze sobą rozmawiam.

KUBUŚ :

Rozumiem.

gra.

MARYCHNA :

Z wiosną przyjdzie pewnie — ale już mnie nad dziecięciem zastanie — wzgardzi mną.

dzwony słyhać kościelne.

MARYCHNA :

Nieszpory w połowie.

KUBUŚ :

Po nieszporach wszyscy przyjdą. Podobno i wójt przyjdzie.

MARYCHNA :

He, he — wójt. Nauczać przyszedł, a skusiło go. A ja mu rutwicę ukradłam, jemu zaś figa. Przeklinał mnie! Ha, ha, ha! — A może przez to przyszło nieszczęście?

KUBUŚ :

Jakie nieszczęście?

MARYCHNA :

E, nie pytaj.

KUBUŚ:

nagle.

Cichaj! Ktoś pędem leci!

wstaje.

MARYCHNA:

Co ci o to?

KUBUŚ:

Coś mi strach...

odchodzi od niej.

SCENA 2.

WOJTEK:

ubrany odświętnie wbiega do izby.

Maryś!

MARYCHNA:

Jestem! Nie bój się, nie uciekłam ci. Jesień już i liście lecą z drzew. Gdzieżbym szła na taką szarugę.

WOJTEK:

Przyjdą po nieszporach. Zostawiłem ich w kościele. Kubuś jesteś tu?

KUBUŚ:

Grałem Marysi, bo tęsknica ją naszła.

WOJTEK:

Idź pod wierzby i patrz — jak będą szli, to krzyknij mi ze sieni.

KUBUŚ:

Lecę.

wybiega.

WOJTEK:

patrzy na Marychnę.

Maryś — nim mi cię dadzą, powiedz — kochasz mnie?

MARYCHNA:

Kocham.

WOJTEK:

Bo mnie w kościele ołtarze gadały, że to oszukaństwo. — Święci się śmieli ze mnie z obrazów. — Poszedłem w ciemny kąt pod chór — bom patrzeć nie śmiał i widziałem i słyszałem — wiesz co? — Ludzie szatana krzyżowali, a szatan mówił do Pana Jezusa: Tacy są ludzie! — Maryś powiedz — czyś ty się wtedy oparła Bartkowi?

MARYCHNA:

milczy.

WOJTEK:

No mów. — Mów Marychna. — Ja ci przebaczę — ja ino tak dla swego spokoju chcę wiedzieć.

MARYCHNA:

milczy.

WOJTEK:

Maryś, na Boga cię zaklinam! Mów, żebym wiedział, że dziecko będzie nasze.

MARYCHNA:

Wojtku!

WOJTEK:

No co? Jak? Mów; Prawdę mów! Jakem biegnął wedle stawu — coś w łozach zapłakało, a wiatr mi szeptał uporczywie, że to twoje płacze dziecko. A przecież ja dotychczas anim się ciebie tknął. Maryś mów!

MARYCHNA:

W łozach płakało jego dziecko.

WOJTEK:

aż się za łeb porwał — czapka mu na ziemię spadła.

Czyje?!

MARYCHNA:

Bartkowe.

WOJTEK:

Ty suko niewierna!

MARYCHNA:

A bij — zabij — ulżysz doli.

WOJTEK:

No nie — moja krzywda.
chwila milczenia.

MARYCHNA:

siedzi obojętna na stole.

WOJTEK:

odszedł ku oknu i na ławie usiadł całym ciężarem.

I to dlatego oni ci mnie dają — bym wstyd zakrył przed ludzkim okiem, bym ojcem był cudzego bękarta... A ja głupi nie widziałem — a ja głuchy nie słyszałem, jak się ludzie pośmiewali — jak szepotali między sobą. I na dziś mnie przystroili w kierezyę i sukmanę bielusienką i do czapki pawie pióra mi przypięli — a ojcowie mi gwarzyli: Aleś szwarny jak królewicz — bo jej królewicza trzeba. — Ha! niedoczekanie jeich!

nagle wstaje.

To od czasu onego przekłętego powroza tak ci mnie zaślepiło. I pocóżeś mnie wtedy kusiła? Po co? Trzeba mnie było w spokoju pozostawić. Nie byłbym wiedział o niczem. Byłbym w sobie zgryzł wszystko i potem się z Kasią ożenił. Byłaby przynajmniej ona szczęśliwa. A tak — to co? Ani ja spokoju, ani Kaśka szczęścia — a ty? — bo ja wiem, co w tobie za dyabeł siedzi.

MARYCHNA:

zeszkakuje ze stołu i podchodzi do niego.
Będę dla ciebie dobrą żoną.

WOJTEK:

Dziś — a jutro uciekniesz precz ze swoim jakimś tam królewiczem.

MARYCHNA:

Nie — nie ucieknę. Już liście spadły z drzew — już mnie nie woła nikt ze sadu, nikt od pól, ni od lasu.

WOJTEK:

Pewnie. Któżby cię tam teraz wołał, jak wszyscy we wsi wiedzą, żeś matką.

MARYCHNA:

zamyśla się.

Może dlatego, żeś matką — to i liście dlatego lecą z drzew.

chwilę milczą.

No Wojtku, nie trap się. Jak mnie nie będziesz kochał, to sobie innej poszukasz.

WOJTEK:

A ty innego. Piękne będzie małżeństwo. Będą mieć ludzie o czym gadać.

MARYCHNA:

Co ci o ludzkie języki.

WOJTEK:

Nic. O moje mi ino chodzi bóle.

MARYCHNA :

Wszystko ci nagrodzę.

WOJTEK :

Jak? — jak? Nie wrócisz mi się taka, jakąbym cię chciał mieć.

MARYCHNA :

A czemużes wtedy nie chciał mnie, gdyś po powróż przyleciał?

WOJTEK :

Przez tę lampę, która zgasła. Alem w nocy w sadzie grał i czekałem — a nie przyszłaś — a wiesz czemu? Bo to nie było kochanie. Powiedz sama, czy to było u ciebie kochanie?

MARYCHNA :

Bo ja wiem. Czasem to mnie ciągnęło do ciebie, jakem cię tak widziała przy robocie zgrzanego — gorąco było od ciebie — we włosach trawę i kłosa miałeś — albo gdyś konie poił, lub z kosą szedłeś w pola. — Rada byłam nieraz iść za tobą i nie wracać do chałupy. A czasem tom i patrzeć nie chciała na ciebie. — Dziś, jakieś tak przed chwilą wpadł do izby — wystrojony — jak jaki królewicz — tom rada, że jesteś mój.

tuli się do niego.

Wojtku! Wojteczku — ty królewiczu złoty mój, nie trap mi się. Harmonię weź i graj! Smutek za-

grasz — tańcz, zatańczysz bóle — śpiewaj, a wesoło. A potem w nocy taki zgrzany i ochotny, rozśpiewany przyjdź! Wszystko kochanie moje weź! Albo wiesz — co tam czekać do nocy. Kubuś wartuje u wierzb. Nim przyjdą! Zapomnisz o wszystkim! — No Wojtek — chodź!

WOJTEK:

milczy.

SCENA 3.

KUBUŚ:

z sieni.

Idą — idą! Są przy wierzbach.

MARYCHNA:

To nic. — Wódki im będę lała hojnie. Popiją się — pójdą spać. — Ale ty nie pij dużo.

podnosi czapkę z ziemi, kładzie mu na głowie.

Wdziej czapkę. Mój jesteś. — Bądź mi strojny. — A nie kłaniaj im się nisko — bo nie oni ci mnie dają, ale ja sama tak chcę.

KUBUŚ:

wbiega.

Są przed sienią. Wójt też idzie.

wybiega.

WOJTEK:

siedzi na ławie.

MARYCHNA:

nakrywa stół serwetą łąraciastą. — Pauza.

KASIA, BARTŁOMIEJOWIE i WÓJT:

wchodzą. — Chwila milczenia.

SCENA 4.

BARTŁOMIEJ:

Czemużes Wojtek wyszedł z kościoła?

WOJTEK:

milczy.

BARTŁOMIEJOWA:

Do Marysi mu spieszno było.

milczą.

BARTŁOMIEJ:

do Marysi.

Gdzież wódka?

MARYCHNA:

Stoi na komodzie.

BARTŁOMIEJOWA:

do Marysi.

Kłóciliście się?

MARYCHNA :

Nie.

BARTŁOMIEJOWA :

No, pamiętaj. Ustępuj mu. Po tem wszystkim
to cię ktobądź nie weźmie.

MARYCHNA :

Wiem.

BARTŁOMIEJ :

wziął wódkę.

No, wójcie — w ręce wasze!

WÓJT :

Najlepszego — ale będę pił do Marysi.

piję.

BARTŁOMIEJ :

Czy nie za ostra ?

WÓJT :

Dla mnie w sam raz. Marysiu, do ciebie.

MARYCHNA :

Daj Boże.

BARTŁOMIEJ :

do żony.

Pewnie znowu co między nimi zaszło.

BARTŁOMIEJOWA :

Nie — nic.

WÓJT :

do Marysi.

Widzisz — rutwica pomogła — a po nagrodę
to się ta zgłoszę.

MARYCHNA :

Jak będę chciała.

WÓJT :

Nie zechcesz po woli — to gwałtem.

MARYCHNA :

Nie boję się — mam obrońcę. Mamo — do was.

BARTŁOMIEJOWA :

Pijże do Kasi, bo gość.

MARYCHNA :

Kasiu!

KASIA :

Niech ci się szczęści, ale ja nie piję.

MARYCHNA :

No to Wojtuś, do ciebie.

WOJTEK :

Ha, dobrze. — Do was, matko.

BARTŁOMIEJOWA :

całuje go w głowę.

Dobry Wojtek — poczciwy Wojtek.

WOJTEK:

Nie chwalcie przed czasem.

BARTŁOMIEJ:

Myśmy cię zawsze chwalili. Wójt świadkiem. Powiedźcie wójtce, czy nie mówiłem nieraz do was, że gdyby nie Wojtek — to ani bym obsiał, ani zebrał. — Dlatego też daję ci Marysię, chociażem się z początku opierał — choć i tak nie przez złość, nie przez pychę, ale wiedziałem, że cię Kasia kocha.

KASIA:

Nie mówcie, bo się rozbeczę.

BARTŁOMIEJ:

Nie masz czego płakać. Jak Marysia od nas odejdzie, to cię weźmiemy za swoją.

WÓJT:

Wtedy — to i chłopak dla ciebie się znajdzie.

KASIA:

Ale nie taki jak Wojtek.

BARTŁOMIEJ:

Ano widzisz, nie wszyscy jednacy.

BARTŁOMIEJOWA:

He, he — Wojtek. — A jak mu to do twarzy w odświętnem ubraniu. — Wiedziała Marysia, kogo chcieć.

BARTŁOMIEJ:

W koszuli, w zgrzebnych portkach to i król będzie wyglądał na parobka, a jak się wystroił — to aż łuna od niego bije. Królewicz! — Co Marysiu?

MARYCHNA:

Królewicz...

WOJTEK:

He, he, królewicz — a wiecie czemu? Bo w łozach dziecko kwili — nie moje — nie!

zamilkli wszyscy długą chwilę.

BARTŁOMIEJOWA:

Przyznałaś mu się?

MARYCHNA:

Tak.

BARTŁOMIEJOWA:

Głupia.

do Bartłomieja.

Przyznała mu się.

BARTŁOMIEJ:

Głupia.

MARYCHNA:

Wcześniej, czy później byłby wiedział.

BARTŁOMIEJ:

Trzeba było przeczekać do ślubu.

MARYCHNA :

A po ślubie?

BARTŁOMIEJ:

Czas byłby jaką radę dał.

zamilkli, jakby im wstyd było.

BARTŁOMIEJ:

Nie myśl Wojtek, żeśmy tacy niegodziwi. Ale jak na człeka nieszczęście się zwali — to się ratuje, jak może. Nie dziw, że czasem i o uczciwości zapomni. Myśmy nie tacy źli.

WOJTEK:

Ja wiem.

BARTŁOMIEJ:

My ci to wszystko wynagrodzimy. Obiecałem ci połowę gruntu — bierz trzy ćwierci. — Las weź cały i stawy oba — i parę koni i bryczkę ci kupię. Będziesz sobie żył jak prawdziwy królewicz.

WOJTEK:

Cnoty mi jej nikt nie wróci.

WÓJT:

Można przeboleć.

zamilkli znowu.

BARTŁOMIEJ:

Wódka czeka. — Do ciebie Wojtku.

WOJTEK:

Pijcie sami.

BARTŁOMIEJ:

Przecież nie myślisz się cofnąć?

WOJTEK:

Nic nie myślę. Sam nie wiem, co myśleć. Czy mi powroza wziąć i powiesić się, czy rzucić wszystko i w świat jechać, czy...

BARTŁOMIEJ:

Co ci też w głowie. Nie żalby ci było szczęścia marnować?

WOJTEK:

Szczęścia? A gdzież ono? Czy w tym stroju — czy było w zgrzebnej koszuli — a może w tym powrozie?

dobywa ze zanadru sznur.

MARYCHNA:

Wojtek!

BARTŁOMIEJOWA:

Duszy nie gub!

BARTŁOMIEJ:

Bój się Boga!

KASIA:

Boże miłosierny!

WÓJT:

Weźcie mu powróż!

BARTŁOMIEJ:

Wojtek — daj powróż.

WOJTEK:

Nie dam. To było moje szczęście. Jeżeli ino na tyle szczęścia zasłużyłem, to mi go zostawcie.

WÓJT:

Po cóż straszysz. Dajcie mu wódki. Zalej smutek. Nie ty pierwszy i nie ty ostatni.

BARTŁOMIEJ:

Pewnie. — A Błazek, co się z Baską ze dwora ożenił. — Cóż było? He? A dziedzic go obdarował i teraz pan. Szczęśliwy! Działki są i ze dworu ciągle coś dostanie. — A i my nie mówimy, że to już wszystko, cośmy ci obiecali — bo i po śmierci naszej weźmiesz jeszcze.

WOJTEK:

Wolałbym ja Marysię w jednej koszuli.

WÓJT:

Toś prawdę powiedział. Piękną dziewczynę toby każdy wolał w koszuli — ha, ha, ha!

BARTŁOMIEJOWIE:

śmieją się wymuszenie.

WOJTEK:

chmurny.

Śmiech zastygł. — Chwila milczenia.

WÓJT:

Proboszcz przyjdzie?

BARTŁOMIEJ:

Prosiłem. Ma przyjść. Będzie i nauczyciel, organistowie, kościelny, gospodyni od proboszcza. Muzykanci też przyjdą.

WÓJT:

To i zatańczymy — co Marysiu?

WOJTEK:

Wszyscy przyjdą.

BARTŁOMIEJ:

A widzisz. Czy nie honor? — Wszyscy!

WOJTEK:

ironicznie.

Ze śmiechem.

BARTŁOMIEJ:

Radosna chwila. Ino co ich nie widać.

do żony.

Przygotowane masz wszystko?

BARTŁOMIEJOWA:

Już od rana — w tamtej izbie stół zastawiony.

BARTŁOMIEJ:

Trzeba może było tutaj. Izba obszerniejsza

BARTŁOMIEJOWA:

Gdzieżby tańczyli?

BARTŁOMIEJ:

Prawda. Dzisiaj musimy Kasi jakiego chłopca
wyszukać.

KASIA:

Mnie nie pilno.

BARTŁOMIEJ:

do żony.

Nafty w lampach masz dość?

BARTŁOMIEJOWA:

Na całą noc. A i świece kupiłam. — Będzie
jasno.

BARTŁOMIEJ:

Jak we dworze. He, he, he! — Szkoda, że
Bartek tego wszystkiego nie widzi. Pozieleniałby z za-
zdrości.

BARTŁOMIEJOWA:

Chybabyś go w dom nie przyjął?

BARTŁOMIEJ:

Czemużby nie? Niechby się napatrzył.

WÓJT:

Co o tem mówić. Nie prędko on się pokaże do wsi.

milczą znowu.

WÓJT:

Czasby był, żeby już goście przyszli — bo apetyt mam na wódkę, a nikt do mnie nie chce wypić.

BARTŁOMIEJ:

Wojtek! Pijże do wójta.

WOJTEK:

Dobrze. Będę pił. Może mi się ulży.

WÓJT:

To to mądre rzekłeś słowo.

piją w koło.

BARTŁOMIEJOWA:

Nim przyjdą — chodźcież, przegryziemy po kawałku kiełbasy.

daje znaki, by zostawić Wojtką i Marysię samych.

Chodź Kasiu!

do wójta i męża.

Oni się ta porozumią.

wychodzą i zamykają za sobą drzwi.

SCENA 5.

WOJTEK:

po chwili.

Nie w smak mi ci wszyscy goście. Wolałbym być sam. Tak mi jakoś źle na duszy. Czuję taką jakąś złość, że i zabiłbym.

MARYCHNA:

Zapomnisz. Do zimy będziemy na swoich śmieciach. Będziemy mieszkać sami. Wieczorami będziesz mi grał — w nocy kochać się będziemy. I tak nam życie przejdzie na graniu i na kochaniu.

WOJTEK:

A równocześnie rosnać będzie trzecie między nami. Nie moje — nie.

MARYCHNA:

I swoje będziesz miał i zapomnisz i po latach nie poznasz, które twoje, a które nie.

WOJTEK:

A tak — po latach zapomnę, gdy już starość przyjdzie. O ile jej doczekam.

MARYCHNA:

A czemużbyś doczekać nie miał?

WOJTEK:

Bo mi się widzi, że śmierć lżejsza od takiego życia.

MARYCHNA :

Nie myśl o śmierci. Zbij mnie, jeżeli chcesz — odpędź od siebie — ale o śmierci nie mów. Przeniosę wszystko, byle nie śmierć. — Cobym ja teraz poczęła bez ciebie. Wszystko ode mnie odeszło precz. Liście z drzew spadły i deszczem zmokłe pogniją na żółkłej trawie. Zboża zżęte, trawy posuszone, ptaki odleciały. Ino jeszcze w lesie w gęstych krzakach coś niecoś tam żyje. — Przyjdą wkrótce śniegi przykryją ziemię — cobym ja wtedy robiła bez ciebie? On — zimą nie idzie poprzez nasz świat.

WOJTEK:

Kto ?

MARYCHNA :

Nie wiem. On — pan z dalekich stron — co mnie uczył kochania, co mi ciągle szeptał, że świat do życia. Poszedł gdzieś daleko, gdzie wiosna — może tam poszedł, gdzie ptaki odleciały. I nikt mi nie został — jeno ty — królewiczu złoty! A jaki paradny! nawet Bartek, kiedy guziki u munduru wyczyścił...

WOJTEK:

Nie wspominaj mi o tym gadzie. O! przyjdzie jeszcze chwila porachunku. We wieczność nie będzie przy wojsku służył. Wróci, ale wtedy albo jemu, albo mnie.

MARYCHNA :

Słuchaj Wojtku, jeżeli ci tak źle wśród tutej-

szych ludzi, to jedźmy w świat. Wśród obcych będę ci droższa, bo będę jedyna przy tobie.

WOJTEK:

Możeby i trzeba jechać.

MARYCHNA :

Zaraz po ślubie — dobrze?

WOJTEK:

Dobrze.

MARYCHNA :

Starzy chcą wnet ślub zrobić.

WOJTEK:

Wiem — spieszno im. — Chcą uciec przed ludzkim językiem.

MARYCHNA :

zalotnie.

A tobie nie spieszno?

WOJTEK:

Ha! ma się stać — niech się dzieje. Jeżeli czas ma przynieść zapomnienie, to niechbym już pięćdziesiątkę liczył. Choć nie wiem...

SCENA 6.

Drzwi się otwierają z trzaskiem.

KUBUŚ:

wbiega.

Bartek tu idzie!

staje przy drzwiach.

Zamknąć?

MARYCHNA:

biegnie do drugiej izby.

Chodźcie! Bartek tu idzie.

WSZYSCY:

wbiegają i stają w oczekiwaniu.

WOJTEK:

wstał z ławy i podszedł na środek izby ku drzwiom.

KUBUŚ:

Możeby lepiej zamknąć drzwi.

BARTŁOMIEJOWA:

Tak, tak — zamknąć.

WOJTEK:

Nie! Myślałby, że się go boję.

MARYCHNA:

A niech się napatrzy twemu szczęściu.

chwila oczekiwania.

SCENA 7.

BARTEK:

wchodzi, ani butny jak dawniej, ani wspaniały — mundur na nim stary — zabłocony. — Wszedł i przy drzwiach się zatrzymał.

WOJTEK:

pięści ino zacisnął. — Chwila milczenia.

BARTEK:

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!
nikt mu nie odpowiedział.

BARTEK:

po chwili.

Maryś — podobno dzisiaj twoje zrękowiny.

MARYCHNA:

Jak widzisz.

BARTEK:

Z Wojtkiem?

MARYCHNA:

Z kimżeby innym?

BARTEK:

A cóż będzie z nami? Mówią ludzie o dziecku.

BARTŁOMIEJ:

Trzeba się było o to dawniej zatroszczyć!

BARTEK:

Człowiek czasem ślepy. Sam nie wie, co robi.

BARTŁOMIEJ:

Żałuj teraz.

BARTEK:

Nie żal mi siebie — ale przecież dziecko moje
Jakże kto inny dziecka mojego ojcem będzie?

BARTŁOMIEJ:

Skoroś nie chciał. Cóżem miał robić? Miałem
ją tak bez męża zostawić na obmowę ludzką, na
wstyd dla niej, a dla nas na hańbę?

BARTEK:

Ja wczoraj z wojska wyszedłem. Wolny jestem!
Mógłbym się żenić, gdyby mi Wojtek chciał ustąpić.

BARTŁOMIEJ:

Ha! Może ci i ustąpi. Krzywda mu się nie
stanie, choć ci ustąpi. A ludzie i tak wiedzą wszystko
i z cicha się z niego pośmiewują.

WÓJT:

W każdym razie jego się o zdanie należy spy-
tać. Cóż ty Wojtek na to?

WOJTEK:

Cóż ja tu mogę mówić — parobek!

BARTŁOMIEJ:

Kiedy ty zaraz po swojemu. Parobek — parobek! Nie chcę z tobą mówić, jak z parobkiem, ale jak ze synem. Ty widzisz nasz ból, widzisz, jak my w strapieniu szukamy drogi ku pociesze — my wcale nie chcemy cię okpić — ale chcemy twojej rady. — Masz dzisiaj u nas pierwszy głos i tak postąpimy, jak ty zechcesz.

chwila milczenia.

BARTŁOMIEJ:

Więc jakże?

WOJTEK:

Róbcie, jak chcecie. Wszystko jedno, czy dla tego, czy dla czego innego.

BARTŁOMIEJ:

Mówże do rzeczy.

WOJTEK:

Jej spytajcie.

BARTŁOMIEJ:

Ha, niby racya. Za kogo ona będzie chciała — za tego pójdzie. Jakże Maryś?

MARYCHNA:

cicho.

A jego tak porzucić — zostawić samego?

BARTŁOMIEJ:

Nie skrzywdzę go.

MARYCHNA :

To mówcie z nim.

chwila milczenia.

BARTŁOMIEJ :

Bo to widzisz Wojtek — jakbyś się cofnął — tobym ci puścił te zagony pod lasem. — Nie dużo tego, ale jak na początek... Na chałupę drzewo ci dam, jak ci przyobiecałem — a grunt to będziesz mógł moim koniem sobie obrobić, to mi za to pomożesz przy żniwach. No, a jakbyś z Kasią chciał się żenić — to wyprawę dostanie. — No jakże? — Zgoda?

WOJTEK :

po chwili.

A zgoda. Bóg wam zapłać.

BARTŁOMIEJ :

Nie masz za co dziękować.

WOJTEK :

Powiedział dzisiaj ksiądz z ambony, że i za kroplę deszczu, która sama pragnącemu spadnie na język, powinno się dziękować.

BARTŁOMIEJ :

To prawda! Tośmy w porządku. Widzisz Kasiu, jak ci przyrzekłem, tak i dotrzymałem. — Wojtek twój.

KASIA:

Wojtuś, czy szczerze mówisz?

WOJTEK:

Tak — szczerze. — Do was gospodarze mam jedną prośbę.

BARTŁOMIEJ:

Mów Wojteczku. Dla ciebie, jak dla syna.

WOJTEK:

Chciałbym bardzo, byście mi to ubranie, które mam na sobie — zostawili. Jak królować — te królować! Radbym, by mnie w niem do grobu złożyli.

BARTŁOMIEJ:

Weź sobie — weź!

WOJTEK:

Bóg wam zapłać.

WÓJT:

Skoro tak wszystko pięknie się zakończyło — toby i wypić na tę zgodę nie zawadziło. Trzeba jakoś Wojtka z Bartkiem pokumać. Dajcieno wódki.

BARTŁOMIEJOWA:

podaje.

WÓJT:

Do ciebie Wojtek. Ty pij do Bartka.

WOJTEK:

Darujcie, ale mi nijako. — Jest przy gościńcu karczma.

BARTŁOMIEJ:

Ale tu u nas i goście będą i muzyka i tańce. Weselej przecież, niż w karczmie.

WOJTEK:

Tam usiedę między pierwszymi, a tubym się po kątach kryć musiał. Darujcie!

nasadził czapkę na głowę i wyszedł.

SCENA 8.

KASIA:

chce iść za nim.

Wojtek!

BARTŁOMIEJ:

wstrzymuje ją.

Zostaw go. Lepiej, że ta swój ból po świecie rozniesie. — Ej Bartek, Bartek! Ty nie wiesz, cośmy tu przeżyli — aż my się postarzel.

BARTEK:

I ja się postarzałem od tych myśli, co mnie do Marysi wodziły.

BARTŁOMIEJOWA:

Byłabym się wszystkiego spodziewała, ino nie

tego, że wrócisz. — Żebyś był choć napisał z wojska — nie bylibyśmy z tamtym zaczynali.

BARTEK:

Nie dawało mi Maryś spokoju. — Gwałtem cię wzięłam i tak mnie pokarało.

BARTŁOMIEJ:

Prawdę powiadają — niema złego, coby się na dobre nie obróciło. I jakże Maryś — radaś?

MARYCHNA:

E — co się pytacie.

podchodzi do Bartka.

Mnie także nie dawało spokoju.

BARTŁOMIEJ:

Nie uwierzycie mi moi ludzie, jak mi lekko. Będę dzisiaj hulał, aż chałupę rozniesie.

Zdala muzyka się zbliża. Basetta ze skrzypkami dudni zamaszycie i flet im pomaga. Czasem zrywający się wiatr ją przygłuszy.

BARTŁOMIEJOWA:

spoglądając w okno.

Coś się wiatr znowu zrywa.

MARYCHNA:

Resztką liści zleci na ziemię. Drzewa zostaną golusienkie.

WÓJT:

Słyszycie? — Muzyka już idzie.

BARTŁOMIEJ:

Wojtek się pewnie wróci z muzyką. Zawsze go do niej ciągnęło. Będiesz widzieć Kasiu, że sobie jeszcze z nim zatańczysz.

KUBUŚ:

Wylecę przed muzykę.

BARTŁOMIEJOWA:

I popatrz tam, czy pleban z nauczycielem nie idą.

KUBUŚ:

Dobrze.

wybiega.

WÓJT:

A to grają. — Już pewnie są przy wierzbach. Marychna, mazura pierwszego ze mną. Niechże chociaż tyle mam za tę rutwicę. Dziś - dziś - dziś - tadarata.
przytupuje.

SCENA 9.

KUBUŚ:

wbiega wylekły.

Je - zus!

BARTŁOMIEJOWA:

Idzie pleban?

KUBUŚ:

Wojtek — się — powiesił!

KASIA:

Jezu!

KUBUŚ:

Na jabłonce — ani jednego listeczka — tylko
on — jak był wystrojony. — — Czapka mu pod
nogi spadła!

Chwila grozy.

Muzyka rznie od ucha coraz bliższa.

Zasłona.

Kraków, w listopadzie 1916.

Tegoż autora:

„Pokolenie“, sztuka w 3 aktach (w druku).

„Cud“, dramat współczesny (w druku).

„Paź“, opowieść w 3 aktach (w druku).



INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat 72
00-930 Włocławek
Tel 26-88-53, 26-52-31 w. 42

F
289